

Rozdział pierwszy

Słońce błyszczało i iskrzyło w głębokim błękitcie przypiływu, fale delikatnie chlupotały, uderzając o brzeg przystani. Kutry rybackie huśtały się leniwie na fali, a stada mew kwiliły hałaśliwie, oczekując smakowitych kąsków, które zostaną wyrzucone przy wyładowywaniu ostatniego połowu. Z tyłu widniało pasmo górskie, gdzie zaczynał właśnie rozkwitać liliowy wrzos i pełna zieleń lata.

Ian Wright oparł łokcie na poręczy przystani i obserwował leniwie widoczną z daleka łódź motorową, która służyła za prom pomiędzy Fair-bourne a Barmouth. Motorówka z trudnością płynęła przez ujście rzeki, pozostawiając za sobą ogon piany. Wright miał niespełna dwadzieścia lat; przystojny, o szerokiej twarzy opalanej na ciemny mahoń po niecałym tygodniu działania morskich bryz walijskiego wybrzeża.

- Nad czym się tak zamyśliłeś? - atrakcyjna ognistowłosa, piegowata dziewczyna, ubrana w dżinsy i sweter, trąciła go łokciem. Była mniej więcej w tym samym co on wieku, a jej wysmukła, doskonale proporcjonalna figura przyciągała wzrok wielu urlopowiczów.

- Nic takiego - uśmiechnął się do niej kątem ust - myślałem tylko, jak miło byłoby spędzić tu jeszcze jeden tydzień, zamiast wracać w sobotę do Londynu.

- Cóż - pociągnęła nosem - muszę wyznać, że się z tobą zgadzam, ale nie sądzę, żeby wuj Cliff był podobnego zdania. On pierwszy rozdmuchałby aferę, gdybyśmy się nie zameldowali w laboratorium w poniedziałek rano.

- Kochany, stary wuj Cliff - zaśmiał się Ian.

- Wcale nie taki stary - Julie wdzięcznym ruchem objęła go w pasie. Jest jednym z najbardziej znanych botaników w tym kraju, a jeszcze nie ma czterdziestki. W końcu to młodszy brat twojej matki.

- Masz rację - Ian westchnął. - Cliff jest dla mnie prawie jak brat. No i - jak to teraz mówią - równy z niego gość. Nawet nie mrugnął okiem, gdy odkrył, że wyjeżdżamy razem na tydzień. „Niech ta sprośność wyjdzie wam na dobre” powiedział, kiedy pakowałem się w piątek wieczorem. „Nie oczekuję, żebyś się dobrze sprawował, ale staraj się być ostrożny. Nie chcę, aby Julie miała jakiegokolwiek kłopotów już teraz”. Nie znalazłabyś wielu wujków z takim podejściem.

- Hm - mruknęła Julie - byliśmy chyba

ostrożni, nie? W każdym razie mam nadzieję, że ty byłeś!

Zaśmiali się oboje. Ich uwagę zwrócił pociąg przejeżdżający przez odległy o milę wiadukt ponad ujściem rzeki.

- Już tylko jeden dzień - westchnęła Julie

- a ty jeszcze nie zabrałeś mnie na Wyspę Muszli. Mówią, że wspaniale się tam pływa.

- Pojedziemy jutro - przyrzekł uroczyście Ian i delikatnie skierował swoją narzeczoną w kierunku „Diabła Morskiego” - niewielkiej kafejki urządzonej w górującej nad przystanią grocie.

Sobota przywitała ich tym samym bezchmurnym niebem i płonąącym słońcem, Ian i Julie rozkoszowali się jazdą odkrytym, czerwonym midge-dem, rocznik 1949, którym przemykali wąskimi drogami wybrzeża.

Po około dwudziestu minutach, gdy zbliżali się do małej wioski Llanbedr, Ian zwolnił i na skraju drogi zauważył drogowskaz z napisem „Mochras”.

- Po walijsku znaczy to „Wyspa Muszli”!

- zawołał przekrzykując wycie silnika, po czym skręcili w jeszcze węższą dróżkę. Wkrótce skończył się asfalt i koła samochodu zachrzęściły na łupkowej nawierzchni. Teraz mogli patrzeć, jak fale przypiływu uderzają o krawędzie grobli.

- A to co? - Julie wskazała na stojące nieopodal budynki i pokryte trawą pasy startowe, ogrodzone rozległym płótem z drutu kolczastego.

- Prawie jak obóz koncentracyjny z ostatniej wojny - dodała.

- To teren Ministerstwa Spraw Wojskowych

- powiedział Ian i zwolnił.

- Wuj Cliff opowiedział mi o tym wszystko, gdy usłyszał, że tu jedziemy. Jest to baza samolotów bezzałogowych. Widzisz te małe samoloty? Sterują nimi zdalnie. Wszystkie są bardzo ciche. Nawet jakbyś miała dziesięć przepustek Ministerstwa, przedostałabyś się zaledwie do pierwszego punktu kontroli. Wuj Cliff powiedział, że grupka skautów, która obozowała na Wyspie Muszli, pewnej nocy wybrała się na zwiady i natknęła się na straż. O mało nie zostali postrzeleni, a później musieli przejść szczegółowe przesłuchania zanim pozwolono im odejść, ostrzegając surowo, by rzecz więcej się nie powtórzyła.

- Skóra mi cierpnie - wdrygnęła się pomimo upału Julie. - Mam nadzieję, że zanim się ściemni, będziemy już stąd daleko!

- Nie przejmuj się tak bardzo - powiedział Ian i widząc na drodze kałużę zredukował biegi. Powoli jechali w kierunku Wyspy Muszli.

- Zapomnisz nawet, że to miejsce istnieje, kiedy zobaczysz jak piękna jest ta wyspa - dodał po chwili.

Wyspa Muszli była istnym labiryntem wąskich dróżek z obszernymi parkingami. Porozbijane tu i ówdzie namioty świadczyły o tym, że turyści lubili, szczególnie w sezonie, to piękne, ciepłe miejsce. Drogowskaz informował o drogach prowadzących na przylądek południowy i północny.

Ian widząc tablicę wskazującą drogę do kąpieliska skręcił w lewo. Pół mili dalej zjechał z drogi i zaparkował samochód na szczycie nasypu. Znaleźli miejsce, z którego mogli podziwiać wydmy i szeroką, złotą, pustą teraz plażę w dole.

- Czy to nie cudowne! - Julie odetchnęła głęboko. Przyjemny, wzmagający się wiatr rozwiewał jej kasztanowe włosy. - Mimo, że przyjechało tu tak wiele osób, mamy niemal całą plażę dla siebie!

- Prawdopodobnie wszyscy już pływali, kąpali się wczesnym rankiem, a teraz muszą to ode-spać - próbował tłumaczyć Ian. -

Zjedzmy coś, a potem zobaczymy, jaka naprawdę jest woda.

Pół godziny później - odziani w kostiumy kąpielowe - biegli przez plażę na spotkanie fal przypiływu. Śmiejąc się i krzycząc brodzili po kostki w białej pianie.

- Naprawdę, woda jest cudownie ciepła - zaśmiała się Julie. - Co byś powiedział na długą, miłą kąpiel?

- Odpowiada mi. - Ian zerknął na przód swoich kąpielówek. Julie zawsze tak na niego działała. Pomyślał o tym, żeby się

rozebrać i pokazać jej to, co widziała w sypialni zaledwie ostatniej nocy. Czemu, do licha, nie miały tego zrobić?! Wokół nie było żywej duszy. A jednak, zawsze mógł się trafić jakiś pruderyjny obserwator z lornetką, wystarczająco dociekliwy, aby donieść komu trzeba. Pomyślał o niechcianym rozgłosie... wuj Cliff... Przestał więc rozważać taką ewentualność i chrupnął w wodę za Julie. Boże, jaką ona ma figurę! Oczywiście w każdym mężczyźnie może wzbudzić okrutne pożądanie - pomyślał - naprawdę okrutne...

Julie, zanurzona już do połowy w wodzie odwróciła się do niego.

- Chodź! - wrzasnęła. - Co cię trzyma? Pościgajmy się wokół tego cypla. Może jest tam jakaś cicha zatoczka, gdzie można by... Łan nie dosłyszał reszty zdania. Zobaczył natomiast jak z kuszącym uśmiechem fiknęła koziołka w tył uderzając z całej siły nogami w wodę.

- Tak - uśmiechnął się do siebie - może jest tam jakaś cicha zatoczka, gdzie moglibyśmy...

Rzucił się naprzód szybkim krokiem, bo chwilami tracił z oczu swoją narzeczoną, która co chwilę chowała się pod wodę.

Przyspieszył. Popłynął na otwarte morze. Miał już za sobą kilkaset

10

jardów, kiedy skręcił w lewo. Płynął teraz wzdłuż linii wybrzeża. Może ją dogonię - myślał.

Julie Coles była także niezłą pływaczką. Dorównywała Łanowi szybkością. Po dziesięciu minutach ścigania się, ciągle dzieliło ich dobrych pięćdziesiąt jardów. Oczywiście, Julie wystartowała mając przewagę, Łan zwiększył wysiłek i rozbryzgując ostrymi ruchami słoną wodę, starał się zmniejszyć dzielącą ich odległość.

Jakieś dziesięć minut później zatrzymał się. Przekłęte fale! Nie mógł już prawie dojrzeć swojej dziewczyny.

- Zawracaj wariatko - zaklął w duchu. - Już zbyt daleko wypłynęliśmy w morze! Ona ciągle rwała naprzód.

- Głupia dziwko! - zasapał głośno. - Płyniesz za daleko...

Zamknął oczy i usta, właśnie w tym momencie nakryła go fala. Morze było coraz bardziej wzburzone. Teraz już nie widział jej wcale. Zaczął rozpaczliwie płynąć przed siebie. Wyścig przestał być zabawą. Ich życie znajdowało się w niebezpieczeństwie.

Nagle Julie mignęła gdzieś między falami. W końcu! Odetchnął z ulgą. Faktycznie, wypłynęła za daleko, ale teraz wracała.

Zdecydował się popłynąć szybko po przekątnej i przeciąć jej drogę. Lekkie poruszenie w kąpielówkach przekonało go, że wszystko wraca do

11

normy. Wkrótce będą leżeć na skąpanym w słońcu, złotym piasku jakiejś osamotnionej zatoczki, z dala od wścibskich oczu, gdzie zrzucą z siebie wszystko i...

Jej przeraźliwy krzyk przerwał mu fantazjowanie. Fala zabrała mu ją sprzed oczu. Chryste! Gdyby tu złapał ją skurcz...

Szukając jej wzrokiem zatrzymał się na chwilę. Stwierdził z przerażeniem, że morze wokół niego opustoszało. Nie było śladu po Julie Coles!

- Julie! - wrzasnął zdesperowany - Julie!!! - krzyczał z coraz silniejszą nutą paniki w głosie.

Po raz pierwszy w życiu czuł się kompletnie bezsilny. Nie widział jej. Jak, do diabła, miał jej szukać? Pomimo znacznego oddalenia od brzegu, woda była tu dość płytka. Zatrzymał się w miejscu i mógł dotknąć dna. Był na czymś w rodzaju mielizny. Pomiędzy wzbierającymi wciąż falami dostrzegł nagle szerokie zmarszczenia na powierzchni wody, ciągnące w jego kierunku. Mrugnął i spojrział znowu. Nie było wątpliwości! To musiała być Julie! - Co za głupi numer! - pomyślał ze złością. - Krzyknęła, aby go przestraszyć, a teraz próbowała podkraść się do niego pod wodą!

Oparł stopy na piaszczystym dnie i śmiał się prawie histerycznie. No cóż, teraz, gdy nic się jej nie stało...

12

Nagle zachwiał się i jego głowa znalazła się pod wodą. Stłumiło to jego przeraźliwy krzyk. Walczył, aby uwolnić się od tego, co trzymało mu w uścisku lewą nogę. To coś przypominało nożyce ogrodowe z ząbkowanymi ostrzami, wgrzyżającymi się z każdą sekundą coraz głębiej w kość. Czuł, że opada na dno morza. Połykał wielkie ilości ciemnej, pełnej piasku, wody. Wierzał jeszcze wolną, prawą nogą. Nie skutkowało. Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że nie ma ratunku. Walczył jednak dalej. Kiedy uświadomił sobie, że może umrzeć, poczuł instynktownie, że to, co go zaatakowało, czymkolwiek było, wcześniej pochłonęło także Julie Coles!

Przed oczami miał czerwoną mgłę. Nie, to nie była mgła... Czuł słonawo-mdlący smak, tak jak wówczas, kiedy będąc chłopcem upadł na plaży i rozciął sobie wargę. To była krew! Przez sekundę miał wrażenie, że jest wolny. Uścisk jakby zelżał, Łan uczynił ostatni, rozpaczliwy wysiłek, kierując się ku powierzchni, gdy w tej samej chwili nieznanemu napastnikowi gwałtownie szarpnął go w dół, chwyciwszy za prawą nogę. Świadomość wolno umykała z jego oszalałej ze strachu głowy. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, co stało się z lewą nogą. Została obcięta! Nagle poczuł straszliwy ból w prawej. Wtedy stracił przytomność.

13

W poniedziałek rano Cliff Davenport był w laboratorium tuż przed siódmą. Do dziewiątej - do powrotu Łana i Julie musiał wykonać kilka prac. Trzeba było wyjąć próbki roślin morskich ze szklanych zbiorniczków i pozwolić im wyschnąć, aby później przejść do analizowania ich właściwości odżywczych. Te przygotowawcze działania Cliff podjął z myślą o dwóch asystentach, którzy natychmiast po powrocie z wakacji rozpoczną badania.

Pogrążony w pracy biolog dostrzegł swoje odbicie w wodzie. Uśmiechnął się. Nareszcie nie czuł się ani na jotę starszy niż był. Zmarszczki na jego wychudłej, orlej twarzy były pozostałością po śmierci ukochanej żony. Nie można ich było w żaden sposób wymazać, tak jak i jego pamięci o niej. Postępująca łysina oraz pasma siwizny na czarnych włosach zdradzały wiek profesora. Jego szczupła sylwetka zwracała uwagę, a uduchowiona twarz jednała zyczliwość. Palił fajkę, jak zawsze trzymając ją opuszczoną w rogu ust. Przypominały mu się czasy, gdy w miejscowym klubie teatralnym odtwarzał postać Sherlocka Holmesa w przedstawieniu "The Spockled Band".

Po wykonaniu przygotowawczych prac profesor poszedł do swojej pracowni. Nalał sobie filiżankę czarnej kawy i na nowo zapalił fajkę. Czuł

14

narastający głód, ale wiedział, że Julie z nawyku przygotowuje mu coś do zjedzenia, gdy tylko powróci.

Ranek się przeciągał, a nie było znaku życia od Łana Wrighta i Julii Coles. Cliff stał się niecierpliw, choć nie martwił się zbyt

zbyt. Prawdopodobnie przedłużyli nieco ostatnią, spędzoną gdzieś wspólnie noc i w rezultacie spali do późna. Jednak w porze obiadowej profesor zaczął się niepokoić. Przestał myśleć o seksie jako głównej przyczynie spóźnienia. Jego myśli zaczęły błądzić wokół zasłyszanych opowieści o wypadkach drogowych, Łan miał zawsze skłonność do zbyt szybkiej jazdy tym swoim starym midge-dem.

Było kilka minut po dwunastej, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Ujrawszy przez zmatowiałe szkła swoich okularów dwa granatowe mundury, Cliff Davenport poczuł skurcz żołądka. Midgeł...

- Profesor Davenport? - Grymas na chudej twarzy sierżanta nie zapowiadał dobrych wieści.

- Tak, tak - Cliff nie mógł ukryć zniecierpliwienia.

- Obawiam się, sir - powiedział oficer, przekraczając bez pytania próg domu - że możemy mieć raczej niepokojące pana wieści.

- Niepokojące?

- Otóż, ee... - policjant przestąpił niepew-

15

nie z nogi na nogę - Siły Obrony Wybrzeża mają podstawy do przypuszczeń, że czerwony, sportowy midged, numer rejestracyjny MNO 897 jest własnością lana Wrighta, pańskiego siostrzeńca zameldowanego pod tym adresem. Wyżej wymieniony pojazd został znaleziony na Wyspie Muszli. Ustalono, że przebywał w nim pewien dżentelmen, który - sądząc po ubraniu - mógł być pańskim siostrzeńcem. Znajdowały się tam również rzeczy należące do kobiety. Wszczęto śledztwo i poszukiwania, które trwają do tej pory. Straż Przybrzeżna używa helikopterów. Dotychczas... nic nie znaleziono. Wygląda na to, że pański siostrzeniec i jego przyjaciółka zniknęli w morzu podczas kąpieli.

Cliff Davenport usiadł na najbliższym krześle. Jego twarz była popielata. Drżał na całym ciele.

- Niemożliwe! - wydusił sztucznym głosem, któremu brakowało przekonania.

- Obawiam się... - zaczął sierżant, lecz urwał nagle, spojrzawszy w oczy swojego rozmówcy.

- Dziękuję panu, sierżancie - Cliff wstał, jak gdyby nagle otrząsnął się z przygnębienia. - Mam nadzieję, że powiadomią mnie panowie natychmiast, gdy coś znajdą.

Policjanci wyszli na zewnątrz. Świeciło jasne słońce. Obaj westchnęli z ulgą. Poszło łatwiej, niż

16

przypuszczali. Profesor zniósł hiobowe wieści w sposób godny podziwu.

W domu Cliff Davenport stał oparty plecami o zamknięte drzwi. W głębi serca czuł, że nigdy nie zobaczy ani lana Wrighta ani Julie Coles.

## Rozdział drugi

Cliff Davenport pozostał w swym domu w West Hampstead jeszcze trzy dni. Nic nie robił, niewiele jadł. Dziennie wypalał średnio jedną uncję tytoniu. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się. Był odporny na smutek, ale trapiła go niepewność. Jeśli Jan i Julie byłiby martwi, wówczas z pewnością nie potrafiliby oprzeć się rozpacz. Jeżeli zostaną odnalezieni żywi, na pewno będzie szczęśliwy. Teraz jednak przyszło mu czekać i przeżywać niewypowiedzianą mękę.

Codziennie dzwonił na posterunek policji w Herlech. Odpowiedź była zawsze ta sama. W końcu inspektor obiecał, że sam zadzwoni, gdy tylko się czegoś dowiedzą. Co oznaczało, iż nie mieli wielkich nadziei na odnalezienie młodej pary.

Nadeszła sobota. Telefon nadal uparcie milczał. Cliff podniósł się z fotela, który przez pięć ostatnich nocy zastępował mu łóżko. Wiedział, że nie przetrzyma następnego dnia wyczekiwania, dreptania w kółko, poczucia całkowitej bezradności.

Poszedł na górę, do swego małego, od dawna nie sprzątanego pokoju, i wyciągnął spod

19

łóżka zakurzoną walizkę. Zaczął otwierać na oślep szuflady i wrzucać do niej odzież.

Była dopiero dziewiąta, gdy wyprowadził z garażu swoją cortinę-kombi. Kontrolka poziomu paliwa wskazywała, że bak jest pełen. Możliwie, że będzie w Lianbedr przed piątą. Perspektywa rychłego rozpoczęcia działania dodała mu otuchy. Odczuł wyraźną ulgę, gdy w końcu zostawił Londyn za sobą.

Hotel w Lianbedr nie był zwykłym hotelem. Niewielu wczasowiczów wiedziało o jego istnieniu, zaś sympatyczna, owdowiała pani Jones wolała zachować go takim, jakim był kiedyś. Rok po roku przyjmowała tych samych, stałych gości i nie pragnęła niczego innego.

- Wielkie nieba! - stanęła jak wryta, rozpoznając mężczyznę wysiadającego z auta. - Profesor! Co za niespodzianka!

- Witaj, ciociu! - pozdrowił ją Cliff. Ku wielkiej radości pani Jones, zawsze nazywał ją „ciocią”.

- Przepraszam za ten najazd, ale to pilne. Oczywiście nie będę narzekać, jeśli nie masz wolnego pokoju.

- W grę może wchodzić jedynie poddasze... - pani Jones była nieco zakłopotana. - Mam zajęty cały dom i gdybym wcześniej wiedziała...

- Ależ może być poddasze! - zapewnił ją

20

Cliff, wyjmując walizkę z samochodu. - Nie chcę ci sprawiać żadnego kłopotu.

- Nastawię czajnik - oznajmiła, znikając w drzwiach.

- Teraz, ciociu - Cliff z wdzięcznością popijał herbatę małymi łykami, przypatrując się jej stalowoniebieskimi oczami - powiedz mi, co wiesz o ostatnich wypadkach utonięć.

- Nic, o czym wcześniej nie byłoby w gazetach - odpowiedziała, pochłonięta nakrywaniem do stołu. - Jak się ludziom zachciewa pływać tam, gdzie są niebezpieczne prądy...

- W pobliżu południowego przylądka Wyspy Muszli nie ma żadnych niebezpiecznych prądów - przerwał jej Cliff Davenport - a poza tym oboje byli pływakami pierwszej klasy.

- Skąd to wiesz? - pani Jones zawahała się. - Czy przypadkiem nie to cię tutaj przygnało?

- Właśnie to - odpowiedział. - Ian Wright był moim siostrzeńcem a dziewczyna jego narzeczoną.

- Och! - pani Jones natychmiast usiadła na najbliższym krześle.

- Nie wiedziałam... och, okropnie mi przykro, profesorze.

- Nie mogłaś wiedzieć - profesor uśmiechnął się blade. - Minał prawie tydzień jak zniknęli i zdaje się, że wszyscy zaprzestali już poszukiwań, zadowolając się nadzieją, że przypląw w

21

swym czasie wyrzuci ich ciała na brzeg. Mnie jednak nie wystarczy, że wszystko toczy się pozornie tak, jak powinno.

Zamierzam narobić trochę zamieszania. Nie wiem, co się stało, ale mam dziwne przeczucie, że kryje się za tą sprawą więcej, niż wydawać by się mogło na pierwszy rzut oka. Czuję także w głębi duszy, że oboje nie żyją. W ponurym nastroju pił dalej

herbatę.

Sierżant Hughes zerknął zza biurka na wysokiego mężczyznę z postępującą łysiną, który właśnie przekraczał próg komisariatu.

- Tak - chrząknął machinalnie, nie zadając sobie nawet trudu, żeby powstać. - Co mogę dla pana zrobić?

- Jeśli mógłby pan odnaleźć mojego siostrzeńca i jego przyjaciółkę, byłbym zachwycony

- ton głosu profesora zabrzmiał zasadniczo. - Czekałem na telefon od panów i, ostatecznie, pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak sam przyjadę do Lianbedr.

- Ach, więc to pan jest profesor Davenport!

- sierżant wstał i podkręcił sobie wąsy. - Robimy wszystko, co w naszej mocy. Nie było potrzeby, ażeby pan...

- Woląłem przyjechać - przerwał Cliff. - Oboje doskonale pływali, a w pobliżu południowego przylądka, gdzie stał zaparkowany samo-

22

chód, nie ma żadnych naprawdę niebezpiecznych prądów.

- Każda kąpiel jest niebezpieczna - stwierdził sierżant z przekonaniem. - Nie oni pierwsi utonęli w tej części wybrzeża, wie pan o tym.

- I mam dziwne przeczucie, że nie ostatni. - Cliff szurnął obcasem. - Bez wątplenia spotkamy się jeszcze podczas mojego pobytu tutaj, sierżancie. Żegnam pana.

Idąc z powrotem w kierunku wioski, Cliff czuł wściekłość. Oczywiście, to mógł być wypadek. Przydarzało się to nawet najbardziej doświadczonym pływakom. Mimo to, ciągle jednak męczyło go to dziwne uczucie, kryjące się gdzieś w głębi duszy...

Następnego ranka po śniadaniu Cliff wybrał się na Wyspę Muszli. Poszedł piechotą, czując, że nie ma sensu zabierać samochodu na co najwyżej dwumilową wycieczkę. Taka była odległość od domu pani Jones do południowego przylądka Wyspy Muszli. Był jasny, słoneczny ranek i gdyby nie trapiące go złe przeczucie, czułby się jak typowy turysta. Przewiesił lornetkę przez ramię i szedł podpierając się kijem, najlepszym kompanem podczas długich wędrówek.

Obozujący wokół rzucali mu przelotne spojrzenia, gdy przechodził przez wydmy. Dobrnął w końcu do rozległej, falistej plaży. Poziom wody był niski. Pośpiesznie wypatrzył lornetką jej kra-

23

wędz. Stado ostrygojadów, mew... i nic poza tym. Wszystko pogrążone w bezruchu. Po lewej stronie dzieci budowały zamki z piasku, ale nie zwracał na nie uwagi. Znajdował się w punkcie wyjścia do rozwiązania dręczących go wątpliwości i zdawał sobie sprawę, że nie dokona tego stojąc na grzbiecie wydmy.

Poczuł twardy piasek pod stopami, gdy zaczął iść w kierunku odległej linii przyływu, dziewiczy piasek, nienaruszony od ostatniego przyływu. Spokojny. Chociaż...

Kilka jardów dalej, powierzchnia zaczęła mięknąć. Woda chlupotała pod butami, choć nie było nawet cienia lotnych piasków. Ostrygojady zerwały się, zaalarmowane pojawieniem się obcego. Mewy krążyły, rzucając swe hałaśliwe obelgi.

W końcu usłyszał szum wody pod stopami. Po jego stronie znajdowała się wielka piaszczysta wydma, przypominająca masywny mur obronny zbudowany przez jakiś starożytny lud. Zerknął za siebie na majaczący w oddali zarys Wyspy Muszli.

- Z pewnością - wymamrotał - musieli popłynąć nie dalej, niż do tego miejsca.

Nagle powietrze wypełniło się ogłuszającym gwizdem, potężniejącym z każdą chwilą. Instynktownie pochylił głowę, po czym wyprostował się, widząc mały samolot, który przeleciał nie więcej

24

niż pięćdziesiąt stóp nad nim, zmierzając w kierunku Wyspy Muszli.

- Przeklęty, bezzałogowy samolot - mruknął. I wtedy właśnie dostrzegł coś na piasku. Około dwadzieścia jardów dalej widniał ślad, długi może na trzy stopy i tak samo szeroki. Został odbity po ostatnim przyływie, świeże muśnięcie w wilgotnym piasku. Ptaki? Otworzył szerzej oczy, widząc następny. Ruszył po śladach.

- Mój Boże! - sapał przejęty i myślał głośno. - Wszystkie one biegną wzdłuż linii przyływu. Ślady pazurów. Ale co, na litość boską, mogło zostawić odcisk tych rozmiarów? Przypomina to... odcisk kraba, tylko sto razy większy i nie jednego lecz przynajmniej tuzina.

Rzucił się na kolana, pragnąc zbadać najbliższy ślad. Miał on kształt i formę odcisku kleszczy kraba, tylko... ten rozmiar był poza wszelkim porównaniem.

Cliff Davenport potrząsnął głową w oszołomieniu. To było fantastyczne. Niemożliwe! Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie! Racjonalne wytłumaczenie. On - jak przystało na naukowca - powinien je znaleźć.

Wtedy znowu usłyszał szum wody pod stopami. Przyływ powrócił. Cofnął się kilka kroków i patrzył, jak morze z wolna pokrywa przedziwne ślady świeżym piaskiem, wymazując je na zawsze.

Cliff wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak

25

wycofać się. Widział na własne oczy te dziwne, szokujące ślady, które teraz zacierały fale. Jedyne dowód zniknął. Gdyby chociaż wziął aparat fotograficzny... Teraz nikt mu nie uwierzy!

Z bólem serca wycofał się przed przyływem. Następne dwa bezzałogowe samoloty przeleciały nad nim, nikt na wyspie. Niepewnie zaczął się zastanawiać, czy mogą one mieć coś wspólnego z dziwnymi śladami na piasku. Jakiś nowy rodzaj podwozia, umożliwiający lądowanie na miękkim podłożu, bagnach lub plażach? Zawsze istniała taka możliwość, nawet jeśli było to wysoce nieprawdopodobne. Miał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Zdjął z ramienia lornetkę i zawrócił w kierunku owego, odgrodzonego drutem kolczastym obszaru.

Z jakiegoś powodu turyści odwiedzający Wyspę zdawali się trzymać z dala od terenów zajętych przez wojsko. Może czuli, że to miejsce nie bardzo pasuje do ich pragnienia wypoczynku, którego tak bardzo potrzebowali. Lub też mieli jakiś wrodzony lęk przed wojskową władzą. Cliff Davenport nie należał do bojaźliwych. W tym momencie nie dbał ani o władzę, ani o piękno przyrody. Wszystko, co wiedział, to to, że musi bacznie przyjrzeć się któremuś z bezzałogowych samolotów, zwracając szczególną uwagę na podwozie. Odkrycie jakiegoś nieszablonowego roz-

26

wiązania konstrukcji podwozia maszyny mogłoby uspokoić nieco jego nadwyrężone nerwy.

Gdy znajdował się piętnaście jardów od najbliższego ogrodzenia z drutu kolczastego, ujrzał straż. Mężczyzna, stojący tyłem do profesora, był w mundurze RAF-u. Cliff spostrzegł z uczuciem lekkiego mrowienia po plecach iż tamten ma karabin. Nie wątpił,

że broń jest naładowana i że wartownik zrobi z niej użytek przy najmniejszym zagrożeniu.

Cliff pochylał się powoli, aż ukrył się cały w wysokiej trawie. Ułożył się wygodnie. Poczł się bezpiecznie. Usunąwszy kępkę trawy sprzed oczu nastawił ostrość soczewek lornetki. Strażnik nie mógł go zauważyć, nawet, gdyby niespodziewanie odwrócił się. Dwa z samolotów, które interesowały profesora stały w bezruchu na pasie startowym po lewej stronie. Teraz musiał dokładnie, w dużym powiększeniu obejrzeć je i następnie dyskretnie wycofać się. Nie mógł się powstrzymać od refleksji, z jaką łatwością również szpiedzy mogliby zastosować taką samą metodę.

Podniósł silną lornetkę do oczu, aby przypatrzeć się najbliższemu z małych samolotów, który migotał w blasku południowego słońca. Wszystko wydawało się całkowicie nieruchome i spokojne. Cliff zaczął badać odrzutowiec, który był niewiele większy od przeciętnego szybowca. Maszyna zrobiła na profesora dziwne wrażenie, jak

27

gdyby brała udział we wszystkim, co zdarzyło się ostatnio. Przypominała cichego, mechanicznego drapieżnego ptaka.

Gdy jednak profesor obejrzał podwozie, ogarnęło go głębokie rozczarowanie. Było konwencjonalne! Ot, po prostu dwa koła, takie same jak w samochodzie - mikrusie. Gdyby samolot wylądował na miękkim podłożu, z pewnością nie mógłby znowu wystartować. Cliff przeniósł wzrok na maszynę stojącą obok. Dokładnie to samo.

Znowu poczuł mrowienie na plecach. Jeżeli te krabopodobne odciski nie są śladami któregoś z tych bezałogowych samolotów, wówczas mogło istnieć tylko jedno rozwiązanie. I było ono prawie niewiarygodne!

- Nie ruszaj się! - zwięźli rozkaz spowodował, że profesor wzdygnął się mimowolnie i lornetka wysliznęła mu się z rąk. Powoli odwrócił głowę. W trawie, w odległości mniejszej niż pięć jardów, kłęczał mężczyzna w granatowym mundurze, nieruchomo trzymając w ręku coś czarnego i błyszczącego. Był to bez wątpienia krótki pistolet automatyczny, kaliber 38.

- W porządku - głos lotnika przypominał syczenie. - Wstawaj. Powoli. Żadnych nagłych ruchów. Tylko spokojnie.

Cliff Davenport podniósł się i wyczuł, iż w 7 odległości zaledwie jednej stopy stoi inny umun-

28

durowany mężczyzna. Nie słyszał wcześniej, żeby tamten się poruszył. Doszedł więc do wniosku, że ma do czynienia ze specjalistą od rozpoznawania terenu. Naprawdę głupi byłby ten, kto w tej sytuacji próbowałby ucieczki - pomyślał.

- Naprzód. - Cliff poczuł silne ukłucie w plecy. - Idź powoli w kierunku tej bramy. Żadnych zbędnych ruchów.

Uzbrojeni mężczyźni wychodzili zewsząd, gdy minęli ogrodzenie. Nie dawali mu żadnej szansy. Cliff zaczął się zastanawiać, w jaki sposób został dostrzeżony. Z pewnością nie wykryła go straż. Prawdopodobnie ktoś stale kontrolował teren z ukrytego punktu obserwacyjnego. Teraz i on widział, jak w oddali turyści grali w piłkę, rozbijali namioty, gotowali jedzenie, całkowicie nieświadomi dramatu rozgrywającego się zaledwie kilkaset jardów od nich.

Szedł naprzód, oszołomiony. Wszystko stało się tak nagle. Za każdym razem, gdy zwalniał, coś twardego wbijało mu się w plecy, zmuszając do dalszej drogi. Teraz po każdej stronie miał już uzbrojonych mężczyzn. Nikt nie rozmawiał. Odnosił wrażenie, że aresztowanie intruza było tu na porządku dziennym. Wszystko odbywało się bez niepotrzebnej brutalności, lecz sprawnie i bezwzględnie.

Zmierzali w kierunku betonowego budynku, który stał przy głównym bloku. Był kwadratowy,

29

z płaskim dachem i przypominał znany Cliffowi z filmów areszt Legii Cudzoziemskiej. Profesor miał przed oczami wizję spoconych mężczyzn siedzących wewnątrz, gdy słońce jest w zenicie, a temperatura w środku wzrasta nie do wytrzymania.

Zza jego pleców wyszedł żołnierz i przekręcił klucz w zamku. Drzwi otworzyły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Na chwilę wszyscy przystanęli na progu. Cliff zajął do środka z mieszanymi uczuciami. Cztery ściany, sufit i podłoga - wszystko szary, zimny beton. Nawet okna. Nagle pchnięcie powaliło go. Upadł na głowę i, gdy się podnosił, ciemność zamknęła się nad nim. Drzwi trzasnęły, usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Chłopięce marzenia o Legii Cudzoziemskiej nagle zaczęły się ziszczać.

## Rozdział trzeci

Cliff Davenport usiadł w zupełnej ciemności, plecami opierając się o ścianę. Otoczenie wywierało na niego klaustrofobiczny wpływ. Nie mógł jasno myśleć. Może to wszystko było tylko snem. Tajne bazy wojskowe, gigantyczne kraby... Wyciągnął dłoń i przesunął palcami po betonie. Chropowata, niczym nie obita ściana. Odkrycie to paradoksalnie przyniosło mu ulgę. Przekonało go bowiem, że to, co przeżywa, jest przerażającą rzeczywistością, której należy stawić czoła.

Czas się włókł. Tarcza zegarka profesora nie była fosforyzująca, więc nie miał żadnej możliwości sprawdzenia, która godzina. Dochodziło go tylko ciche, lecz ustawiczne tykanie, które sprawiło po pewnym czasie, że czuł się, jakby był poddany osławionej chińskiej torturze kropli wody. Miał ochotę krzyknąć, obrzucić swych prześladowców najgorszymi przekleństwami na świecie.

Zamiast tego siedział w milczeniu. Czekał. Na co, nie wiedział.

Przez cały czas dochodził go miarowy stukot kroków wartowników. Nie dawali mu żadnych szans. Myślał o tym, żeby przyciągnąć ich uwagę,

31

powiedzieć kim jest, dlaczego zbliżył się do bazy, ale wiedział, że to nic nie da. W końcu zatracił wszelką rachubę czasu i zaczął bezmyślnie wpatrywać się w ciemność. Było gorąco i duszno.

Nagle usłyszał stapanie tuż przy drzwiach. Klucz ponownie obrócił się w zamku. Drzwi gwałtownie otworzyły się i potok słonecznego światła wdarł się do środka. Zastaniając oczy przed oślepiającym blaskiem, Cliff Davenport zobaczył pięciu uzbrojonych mężczyzn, stojących na progu.

- Tędy, proszę. - Wysoki mężczyzna z krótkimi wąsikami zdawał się dowodzić innymi. Miał silny, zdecydowany głos i pozostała czwórka robiła wrażenie ślepo posłusznych jego rozkazom.

Cliff podniósł się z wysiłkiem, mrużąc oczy, ciągle jeszcze nie był zdolny do uchwycenia ostrości obrazu. Umundurowany mężczyzna stanął przy jego boku. Próbował mu pomagać i jednocześnie popychał do przodu. Niestety w skurczonyj pozycji, w której profesor pozostawał przez trudny do określenia czas, noga odmówiła posłuszeństwa - zdrętwiała boleśnie. Teraz potknął się i zachwiał niebezpiecznie. Dwóch mężczyzn pochwytiło go i pociągnęło po ziemi.

Niecałe trzydzieści jardów od jego dotychczasowej celi stał inny przysadzisty budynek o nieco

32

mniej odpychającym wyglądem. Ten przynajmniej miał okna.

Jeden ze strażników otworzył drzwi. Dwóch innych wepchnęło więźnia do środka. Wnętrze było schludne, lecz skąpo umeblowane. Na podłodze leżała jasnobrązowa mata, przy ścianach ustawiono szafki, na środku pomieszczenia królowało duże, mahoniowe biurko. Cliff Davenport zerknął na człowieka, który za nim siedział. Był dobrze zbudowany, całkiem łysy, a jego jasnoszary, znoszony garnitur, nadawał mu jeszcze bardziej nieprzystępnego wyglądu.

Ktoś zamknął drzwi.

- Kim pan jest? - Mężczyzna za biurkiem miał płaski, pozbawiony uczuć głos.

- Nazywam się Cliff Davenport, profesor. - Mówiąc to wyprostował się. Teraz, gdy nie był już więziony w mrocznej celi, czuł, jak zaczyna powoli odzyskiwać pewność siebie. - Mieszkam w West Hampstead, tu zaś zatrzymałem się u pani Jones z Lianbedr.

- Okazywał pan zainteresowanie naszymi samolotami - oznajmił mężczyzna, podnosząc skonfiskowaną lornetkę. - Chcę wiedzieć, dlaczego się pan nimi tak interesował.

Cliff zawahał się. Zdążył powstrzymać się od odpowiedzi, którą miał już na końcu języka. Nie mógł przecież, do licha, zacząć bredzić o wielkich krabach. Ale co miał powiedzieć? Były tylko dwie

3 - Noc krabów

J J

możliwości. Mógł albo uznać się za szpiega, albo przyznać się do choroby psychicznej. Wciągnął głęboko powietrze. Wszyscy patrzyli na niego z napięciem. Wahanie mogło być zinterpretowane jako dowód winy.

Wydał przeciągłe westchnienie.

- Czy słyszeli panowie o zaginięciu dwójki młodych pływaków w ostatnią niedzielę?

- Jakich pływaków?

Boże! Czy oni nigdy nie czytają gazet, czy też po prostu pozbawieni są ludzkich uczuć?

- Chodzi o pewnego młodego człowieka i jego narzeczoną. Ich samochód został odnaleziony na południowym przylądku

Wyspy Muszli.

- Doprawdy?

Najwyraźniej naigrywali się z niego. Czuł, jak wzrasta w nim gniew, ale wiedział, że musi zapanować nad emocjami. Z trudem powstrzymał replikę, starając się przybrać spokojny wygląd.

- Tak - powiedział, wykrzywiając z trudem twarz w uśmiechu. - Od tamtego czasu policja i Straż Przybrzeżna przeszukują teren, ale jak dotychczas, nie znaleziono ich ciał.

- Jaki to ma związek z faktem, że oglądał pan nasze samoloty przez lornetkę? - w głosie przesłuchującego mężczyzny nie było cienia jakiegokolwiek emocji.

- Właściwie nie ma... oprócz tego, że... że... - Cliff rozpaczliwie szukał wiarygodnego wytłu-

34

maczenia. - Przez cały ranek byłem na plaży, szukałem jakiegoś znaku po zaginionych i zastanawiałem się, czy... któryś z waszych samolotów nie mógłby być użyty przy penetrowaniu terenu.

Ktoś za jego plecami z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Zaobserwowano, że przypatrywał się pan samolotom przez dłuższy czas.

- Byłem zmęczony - tu z pewnością nie minął się z prawdą. - Nachodziłem się sporo tego ranka. Nagle trafiła się okazja, żeby trochę odpocząć, a poza tym... jako chłopiec bardzo interesowałem się samolotami. Wiem, że to był błąd i jedyne, co mogę, to serdecznie panów przeprosić...

Mężczyzna w szarym garniturze głośno sobie brodę, nie okazując ani zrozumienia ani niedowierzania.

- Będę potrzebował dowodu pańskiej tożsamości - stwierdził w końcu.

- Zna mnie sierżant Hughes z lokalnej policji - odpowiedział Cliff. - A jeżeli nie on, to muszę panów odesłać do sir Ronalda Whitehall, który jest moim osobistym przyjacielem. Z pewnością słyszeli panowie o nim?

Profesor poczuł nagły przypływ nadziei, widząc zdziwienie, które zagościło na moment na kamiennej twarzy przesłuchującego. Ułamek sekundy i nie było już po nim śladu. Decydująca

35

chwila. Słuchawka telefonu została uniesiona do góry i długi, wysmukły palec zaczął wykręcać numer. Krótka pauza. Słychać było przerywany sygnał po drugiej stronie linii. Pii... pii... pii... - przeciągało się w nieskończoność. Zdawało się, że nikt się nie spieszy. W oczekiwaniu wszyscy wstrzymali oddech.

Nareszcie dał się słyszeć trzask i w słuchawce rozległ się głos. Słowa trudno było zrozumieć.

- Sir Ronald? - w tonie mężczyzny o surowej twarzy dało się wyczuć nutkę respektu. Napięcie spadło. - Mówi Myerscough, Wyspa Muszli. Czy zna pan profesora Davenporta, sir?

W ciszy, która ponownie zapadła, słychać było przytłumiony, lecz nieprzerwany potok słów, dochodzący ze słuchawki.

Myerscough słuchał uważnie. Zmarszczył brwi. Wyraz rozczarowania pojawił się na jego twarzy.

- Tak, tak, sir Ronald - teraz był prawie pokorny. - Pański opis pasuje do niego doskonale. Nie, nie, sir wystarczy mi pańskie słowo. Wygląda na to, że popełniono pomyłkę. Tak, tak, oczywiście, sir. Przepraszam, że pana niepokoiłem.

Odłożył słuchawkę na miejsce i powoli pokiwał głową. Uśmiechnął się, lecz był to zaledwie skurcz mięśni twarzy, nadal wyzuty z wszelkich emocji.

- Najwyraźniej popełniono pomyłkę, profe-

36

sorze Davenport - powiedział. - Jest pan wolny. Może pan także wziąć swoją lornetkę. Tym niemniej, dla własnego dobra, proszę już więcej nie interesować się naszymi samolotami.

Cliff Davenport wrócił do hotelu w Lianbedr kilka minut przed szóstą. Czuł się wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Gotów był nawet uwierzyć, że ślady na plaży to nic innego, jak wytwór jego własnej fantazji. Może po prostu była to sprawka szukających w piasku pokarmu mew...

Gdy zszedł na dół, aby zjeść kolację, w małej jadalni był już komplet gości.

- Aaa, profesor - powiedziała pani Jones, wychodząc niespodziewanie z kuchni. - Jest pan nareszcie. Już zaczynałam się niepokoić, gdy nie przyszedł pan na obiad.

- Miałem spory kawał drogi do przebycia - smętnie pokiwał głową.

- Wie pan, obawiam się, że jest tu odrobinę za mało miejsca - pani Jones pochyliła się nisko, aby inni nie słyszeli. - Wiem, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, aby dzielić stół z kimś innym. Tam w rogu siedzi pani Benson. Mąż opuścił ją rok temu. Był z niego prawdziwy drań. Jestem pewna, że pan ją polubi.

- Na pewno - odpowiedział Cliff. Jego oczy spoczęły na drobnej, czarnowłosej dziewczynie

37

nie, popijającej powoli, sok pomidorowy. Nosiła szkocką spódniczkę i bawełnianą bluzkę, na której delikatnie zaznaczał się zarys małych, kształtnych piersi. Nieczęsto ostatnio miał okazję widywać takie kobiety. Dawał jej około dwudziestu pięciu lat.

- Dzień dobry, profesorze - pozdrowiła go, uśmiechając się życzliwie, gdy stanął niezdecydowany przy stole. - Wiem o panu wszystko od pani Jones. Proszę, niech pan usiądzie. Mam na imię Pat.

W ciągu kilku minut poczuł, jak opuszcza go początkowe napięcie. Poczuł się odprężony. Potrzebował rozmowy, a ona była doskonałym słuchaczem - życzliwym i zaangażowanym. Początkowo nie miał zamiaru opowiadać jej o swych przeżyciach w bazie samolotów. Czuł, że są one zbyt upokarzające, jednak w końcu nie wytrzymał.

- Mój Boże! - wykrzyknęła, mrugając oczami. - W jakim państwie my żyjemy! Jeżeli nie chcą, żeby ludzie przyglądali się ich samolotom to czemu, do diabła, nie trzymają ich w ukryciu? Przecież każdy mógł obserwować przez lornetkę któryś z nich.

- Oczywiście, to mogła być przynęta - zauważył, choć dopiero teraz przyszło mu to do głowy. - Być może oczekiwali, że ktoś,

38

akurat się napatoczyłem i wpadłem prosto w pułapkę.

Wtedy opowiedział jej o Ianie i Julie.

- Och, jakie to okropne! - Ciasteczko z serem zatrzymało się w połowie drogi do jej ust. - Ja... tylko raz kąpałam się przy południowym przylądku. Było to dzisiaj po południu.

Zmarszczyła brwi na wspomnienie popołudnia spędzonego na złotej plaży z błękitnym morzem, przesuwającym się niestrudzenie w kierunku brzegu.

- Było... było tam coś, co w sposób szczególny zwróciło moją uwagę - szepnęła. - Coś bardzo dziwnego. Oczywiście, mogło to nic nie znaczyć, ale...

- Proszę mówić - nalegał.

- A więc - ciągnęła, zmrużywszy oczy - jako dziecko często siadywałam i obserwowałam kraby, pelzające po plaży. Wiem, jak wyglądają ślady, które zostawiają po sobie na mokrym piasku, znam odciski ich kleszczy. No i... dzisiaj także zobaczyłam ślady. Wyglądały, jakby należały do krabów, tylko... ten ich rozmiar! Jeżeli rzeczywiście zostawiłyby je kraby, to musiałyby one mieć wielkość, czy ja wiem, barana!

- O Boże! - Cliff Davenport zrobił się błyśnięty jak ściana. Z zaciśniętych na krawędzi stołu dłoni odpłynęła krew. - Więc jednak miałem rację! To nie był sen! Boże, czym są te stwory?

39

- Więc pan także widział ślady? - szczeka opadła jej ze zdziwienia.

Tego ranka - odpowiedział. - I jeszcze coś. Teraz jest czas pełni księżyca. Wpływa to tak samo na zachowanie krabów, jak przypiływ. To wyglądało tak, jak gdyby ich stado pelzało wzdłuż linii przypiływu. Ale to niemożliwe. Takie ogromne stwory nie mogą istnieć!

- Z pewnością wie pan lepiej ode mnie, profesorze - uśmiechnęła się - ale tak naprawdę, przecież nikt jeszcze nie zbadał dokładnie dna oceanu. Być może wokół tych właśnie wysp istnieje pod wodą życie, o którym nikomu dotąd się nie śniło. Muszą tam być tysiące jaskiń, zdolnych ukryć stworzenia wielkie, jak okręty wojenne. Ostatecznie, ciągle jeszcze nie wyjaśniona jest sprawa potwora z Loch Ness.

- Ma pani rację - szepnęła - choć jest to tak niewiarygodne. Sam byłem kilka razy zaskoczony wynikami własnych odkryć w świecie flory. Tym niemniej muszę mieć pewność. Kilka śladów na piasku to jeszcze nie dowód. Zostałbym wyśmiany.

Nagle jej ręka spoczęła na jego dłoni, jak gdyby tego rodzaju kontakt był najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Mimowolnie wyczuł ślad po obrączce, którą kiedyś nosiła na serdecznym palcu lewej ręki.

- Ja ciebie nie wyśmieję... Cliff - uśmiech-

40

nęła się. Ogarnęło go dziwne wzruszenie, którego nie odczuwał tak dawno, że prawie zapomniał, iż w ogóle istnieje. -

Powiedzmy, że połączymy siły i spróbujemy się czegoś dowiedzieć. Ja nie mam nic szczególnego do roboty. Przyjechałam tu, żeby... zapomnieć, spróbować rozpocząć nowe życie. Pomogę ci także szukać Iana i Julie. Poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą.

- Dziękuję ci - rzucił jej przelotne spojrzenie, aby nie mogła dostrzec jego wzruszenia, był jednak słabym człowiekiem. -

Bardzo... byłbym ci wdzięczny. Może pójdziemy jutro się wykapać? Nie, nie, lepiej trzymajmy się z dala od wody. Dopóki się czegoś nie dowiemy, to zbyt ryzykowne. Musimy przebadać dokładniej plażę i poszukać dowodów.

- A więc zgoda! - uściśnęła mu rękę i wstała od stołu. - Zobaczymy się jutro przy śniadaniu. Pa!

Następnego ranka Cliff Davenport i Pat Ben-son wstali późno. Większość gości zdążyła już zjeść śniadanie i wyjechała. Oni zasiedli do stołu sami i zaczęli jeść melona.

Naraz wzrok profesora padł na nagłówek w gazecie, leżącej na sąsiednim stoliku: "WYPADKI ZATONIEŃ W POBLIŻU WYBRZEŻY WALII".

Porwał gazetę drżącymi rękami, wiedząc prawie, co za chwilę przeczyta: „... następnie zniknę-

41

ło dwóch pływaków w pobliżu Wyspy Muszli w ostatnią niedzielę, oprócz tego wczoraj po południu zgłoszono wypadki zaginięć w okolicach Borth, Fairbourne i Barmouth. Trwają intensywne poszukiwania, jednak jak dotychczas nie odnaleziono nikogo z zaginionej piątki. Eksperci twierdzą, że ostatnio w tych rejonach pojawiły się niebezpieczne prądy, które mogły stać się przyczyną śmierci nieostrożnych amatorów kąpiele."

- Mój Boże! - wykrzyknął Cliff. - Spójrz na to - powiedział, podając gazetę Pat Benson. - Zaczęło się! Kraby atakują.

## Rozdział czwarty

Kilkanaście minut po piętnastej Cliff Davenport i Pat Benson maszerowali powoli w kierunku odległego, lśniącego morza.

Trzymali się za ręce. Rozmawiali niewiele. Dla obserwatora z zewnątrz byli jeszcze jedną parą idącą się wykapać.

Kilka razy widzieli helikopter Straży Przybrzeżnej. Poszukiwania zaginionych wciąż trwały.

- Nie mogę tego pojąć - powiedziała Pat. - To było zawsze najlepsze miejsce do kąpieli. Były oczywiście niebezpieczne prądy, ale jak wiedziałeś, gdzie są, nic nie mogło się stać. A tu nagle ni stąd ni zowąd pojawiają się te wszystkie straszne ślady kleszczy... i zaczynają ginać ludzie.

- To się dopiero zaczyna - zauważył Cliff i potrząsnął głową. - Coś... może kaprys przyrody, ale czymkolwiek to jest, to dopiero początek.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - W jej głosie dało się wyczuć nutkę niepokoju, jak gdyby przywiązywała wielką wagę do odpowiedzi.

- Nie wiem - spojrzał na nią uważnie. - To zależy od tego, czego się dowiem albo czego się domyślę. Cóż, przypuszczam, że zostanie jeszcze jakiś czas. A ty?

43

- Zarezerwowałam hotel na dwa tygodnie

- odpowiedziała. - Przyjechałam dopiero wczoraj rano. Chociaż, to zależy. Podobnie jak ty, chciałabym się czegoś dowiedzieć. Nic mnie nie wiąże. Właściwie nie ma po co wracać do domu. Na domiar złego jestem straszliwie ciekawa.

- A więc - stwierdził, obejmując ją w pasie

- oboje jesteście skazani na to, żeby zająć się tą sprawą.

Dotarli do morza. Poziom wody był niski. Piętnaście ostatnich jardów plaży stanowiła masa lepkiego, morskiego błota, które zaczynało właśnie wysychać w promieniach słońca.

- Spójrz! - Pat Benson pierwsza dostrzegła ślady na piasku po lewej stronie, nadające gładkiej powierzchni wygląd ziemi uprawnej, którą ktoś próbował zorać mechanicznym kultywato-rem, porzucając później to niewdzięczne zajęcie.

Chiff skinął głową. Zmienili kierunek i zaczęli iść w stronę widocznych wyraźnie śladów. Pat mocniej chwyciła go za rękę.

- Chryste! - wargi Cliffa Davenporta spło-wiały, a twarz wykrzywił grymas, gdy przystanęli i spojrzeli w dół na porwany piasek. Pat Benson poczuła nagły przypływ strachu, chciała zawrócić. Chciała uciekać, ile tylko sił w nogach, przed czymś straszniejszym niż to, co oko ludzkie kiedykolwiek widziało, a co w każdej chwili mogło się wynurzyć z nadchodzącego

44

przypływu. Została jednak. Być może tylko dlatego, że była z Cliffem Davenportem.

- Zwróć uwagę na ich rozmiar! - oddychała ciężko. Cała się trzęsła i miała nadzieję, że mężczyzna obok niej tego nie widzi.

- W porządku, to kraby - stwierdził profesor pochylając się, aby palcami dotknąć śladów w błocie. - Zobacz. To jest fragment muszli. A tu następny. Sądząc po tym, jak plaża została ubita, musiało ich być około setki. Sama widzisz, jak blisko byłaś prawdy. Muszą być tak duże, jak barany.

- Ale... ale... - głos Pat drżał - dlaczego wcześniej nikt ich nie zauważył?

- Powiedziałbym, że z dwóch powodów - Cliff zrobił pauzę i powoli zaczął nabijać fajkę, starannie ugniatając tytoń w lulce, po czym zapalił zapalkę. - Po pierwsze, jak już wspominałem, dopiero od niedawna pojawiły się w tej części wybrzeża. Po drugie, wychodzą i żerują głównie w nocy - podczas pełni księżyca.

- Ale czy nie moglibyśmy powiadomić władz? - Pat rozłożyła bezradnie ramiona. - Na przykład wojska.

Cliff Davenport zaśmiał się, w nienaturalny sposób.

- Przecież możesz sobie wyobrazić, jak by na to zareagowali - zbesztął ją, wypuszczając kłęby gęstego dymu. - Bardziej ich interesuje, że

45

podglądałem lornetką jeden z ich bezzałogowych samolotów, niż naiwna bajeczka o wielkich krabach.

- Bajeczka? - obruszyła się Pat. - To nie jest żadna bajeczka, to rzeczywistość.

- Potrzebujemy dowodów - odpowiedział

- prawdziwych dowodów, które ich przekonają. I ja zamierzam je zdobyć.

- W jaki sposób?

- Wrócę tutaj w nocy - powiedział - gdy wzejdzie księżyc. Przygotuję się na długie czuwanie. Możliwe, że będzie to daremne. Najprawdopodobniej tak będzie. Kraby mogą się tu już nie pokazać nawet przez parę najbliższych tygodni. Ale gdy zobaczę je na własne oczy, będę mógł kogo trzeba przekonywać, a może nawet zorganizuję jakąś akcję. Może dopiero wtedy ludzie przestaną ginać.

- Tamte wydmy byłyby najlepszym miejscem do obserwacji - Pat wskazała w kierunku Wyspy Muszli. - Bylibyśmy dobrze osłonięci i moglibyśmy widzieć nie będąc widzianymi.

- My?

- Idę z tobą. Co do tego, możesz nie mieć żadnych wątpliwości.

- Spójrz no tylko tutaj - powiedział Cliff surowym tonem, chwytając ją mocno za ramię.

- To nie jest robota dla kobiety. Te stwory za-

46

brały już kilka istnień ludzkich. Są śmiertelnie niebezpieczne. Ryzyko...

- Idę - patrzyła mu prosto w oczy. - I nie próbuj mnie powstrzymywać, Cliffie Davenport. Wdepnęliśmy w to razem. Nie tylko ty odkryłeś te ślady.

- W porządku - westchnął. - Zdaje się, że cię nie powstrzymam, ale pamiętaj, będziesz robiła tylko to, co ci powiem. Idziemy wyłącznie po to, żeby obserwować. Nic więcej.

Skinęła głową na znak zgody. - Zobacz, ktoś idzie!

Cliff odwrócił się.

Wzdłuż linii przypływu, w odległości około dwustu jardów, szedł jakiś mężczyzna. Zmierzał w ich kierunku. Poruszał się dziwnie, powłócząc nogami. Jego ciało zdawało się być skrecone od pasa w dół, jakby zdeformowane. Miał na sobie podartą, purpurową koszulę, której strzępy trzepotały na wietrze, i poszarpane, drelichowe spodnie. Zauważyli nagie stopy. Ze swoimi długimi, poplątanymi włosami i rozpuszczoną dziko brodą przypominał Robinsona Crusoe.

Gdy podszedł bliżej, mogli mu się przyjrzeć dokładniej. Zobaczyli duże, wytrzeszczone oczy i mały nos z wielkimi nozdrzami, usytuowany tuż ponad cienkimi wargami, które nie były w stanie ukryć odłamków spróchniałych i połamanych zębów. Co kilka kroków nieznamy schylał się,

47

aby podnieść kawałek drewna, wyrzuconego na brzeg przez fale.

- Włóczęga - skomentował Cliff. - Co za dziwny człowiek!



Idąc szybkim krokiem, mężczyzna charczał i chrząkał. Zerkał w ich kierunku - jego oczy, wylupiaсте i szkliste, sprawiały wrażenie nieobecnych. Minął ich, przechodząc przez galimatias krabich śladów, najwidoczniej całkowicie nieświadomy tego faktu. Stali nieruchomo i patrzyli na niego, aż do momentu gdy ćwierć mili dalej skręcił w stronę ładu.

- Lepiej wracajmy - zaproponowała Pat. Pomimo skwaru dnia drżała na całym ciełe.

- Tak, nie zyskamy dużo stojąc tu. Cliff objął ją w pasie i zaczęli powoli iść w kierunku piaszczystych wydm.

Miękki piasek na wydmach ogrzewał im stopy. Byli osłonięci od morskich bryz, a zagłębienia w piasku oferowały im cień. Było to najlepsze miejsce, ażeby usiąść i odpocząć. Początkowo zamierzali powrócić prosto do pani Jones na obiad, lecz ostatecznie nie zdołali oprzeć się pokusie, aby pozostać dłużej w ciszy i samotności wydm.

Usiedli. Nie mówili nic, zajęci własnymi myślami. Ramię Cliffa nadal obejmowało Pat, a jego zmysły nie pozostawały obojętne na jej bliskość. Dużo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni podnieciła go kobieta. Poczł lekki uścisk w okolicy

48

bioder, serce zaczęło bić szybciej, niż zwykle. Nagle zapragnął ją pocałować, rozgnieść swoje wargi o jej usta, przygnieść jej ciało swoim ciężarem, jej piersi swoimi piersiami.

Zwrócił ku niej głowę, próbując zebrać się na odwagę. W ustach czuł suchość, puls galopował. W odpowiedzi na jego ruch odwróciła twarz. Czy te pełne, czerwone wargi z błakającym się uśmiechem, zastygłe w oczekiwaniu na jego następne posunięcie są tylko snem? Pod wpływem nagłego impulsu schylił się i pocałował ją. Ich wargi zwały się i nie mogły się rozłączyć. Podniosła ramiona i objęła go za szyję. Przytuliła się mocno. Przez jego ciało przebiegały dreszcze emocji. Poczł paznokcie zagłębające się w jego plecy.

W końcu rozdzielili się. Ich twarze płonęły. Spojrzenia spotykały się. Przez kilka chwil po prostu siedzieli, patrząc na siebie.

- Czy... czy kiedykolwiek czułeś się samotny? - szepnęła, kładąc głowę na jego piersi.

- Tak - przyznał Cliff. - Ale nauczyłem się z tym walczyć. Po prostu pracuję... i pracuję... i pracuję. Kocham moją pracę. To jedyna rzecz, która trzymała mnie przy życiu. Bez niej powinienem już dawno umrzeć.

- Ale mimo to wciąż jesteś samotny - powiedziała cicho, głaszcząc go po szyi. - Ja wiem, wierz mi, wiem! Czasami to było zbyt okropne,

4 - Noc krabów

49

żeby powiedzieć na głos, ale wiedziałam, że któregoś dnia... spotkam kogoś innego!

Pod wpływem jej słów poczuł, jak przybywa mu odwagi. Tu, na wydmach Wyspy Muszli rodziła się dla niego nadzieja na nowe życie.

- Ja... ja... - brakowało mu słów, nie mógł nic wykrztusić.

Pocałował ją znowu. Tym razem jego długie, szczupłe palce pieściły ją przez ubranie, zatrzymując się na ponętnych piersiach. Nie odważył się przekroczyć tej umownej granicy. Czuł uścisk w łędźwiach i miał olbrzymią ochotę posiąść ją.

- Lepiej wracajmy na obiad - stwierdził stanowczo i pomógł jej wstać. Bał się, iż straci panowanie nad sobą i zrobi coś, co mogłoby zepsuć wszystko, co już stało się między nimi.

Ścisłe objęci, wyruszyli z powrotem do Lian-bedr. Nie umieli jednak znaleźć wewnętrznego spokoju. Oboje pamiętali ślady na piasku i nie mogli powstrzymać się od wyobrażania sobie okropieństw, które znajdują się pod powierzchnią tego iskrzącego się, błękitnego morza.

- Bawiliście się dobrze nad morzem? - pani Jones uśmiechnęła się, podając im danie ze świeżego kraba i sałaty.

Cliff Davenport zdobył się na wymuszony uśmiech. Nie mogli zapomnieć tego, co widzieli rano, chociaż bardzo się starali.

- Spotkaliśmy na plaży dziwnego człowieka

50

- zauważył, częściowo z grzeczności, a właściwie pytając jakby z ciekawością - włóczęgę.

- Aaa...! - Pani Jones potrząsnęła głową z wyraźną dezaprobatą, nie pasującą do jej dobrotliwej twarzy. - To musiał być Bartołomiew.

- Bartołomiew? - Cliff drążył dalej. - Jaki Bartołomiew?

- Po prostu Bartołomiew - pani domu zawiesiła głos, jak gdyby nie miała ochoty rozwijać tego tematu i żałowała, że sama sprowokowała rozmowę. - Kręci się tutaj od jakichś trzech lat. Nigdy nie zrobił nikomu nic złego. Zdaje się, że mieszka w grotach. Od czasu do czasu podejmuje jakąś dorywczą pracę na przystani w Barmouth, tak słyszałam.

- Nie wygląda na eee... człowieka zbyt rozmownego - kontynuował Cliff.

- No cóż - zarumieniła się, jak gdyby była osobiście zażenowana z powodu Bartołomiewa.

- Nie może. Jest głuchoniemy. Jest także chory umysłowo. Nigdy nie wszedł nikomu w drogę, więc nikt nie próbował dotąd zrobić czegokolwiek w jego sprawie. Zresztą i tak nikomu by się nie chciało.

Mówiąc to przeszła do następnego stolika, aby zebrać brudne naczynia.

- Bartołomiew - powtórzył Cliff, gdy znalazła się poza zasięgiem jego głosu. - Cała ta sprawa wygląda coraz bardziej tajemniczo.

51

Chciałbym jednak ażebyś została, Pat, pozwól mi iść samemu.

- Cóż, nie pozwolę - powiedziała nieugiętym głosem. Dotknęła za ledwie jedzenia. Krzywiąc się, odsunęła kraba na brzeg talerza i skoncentrowała się na sałacie.

- Fu! - wzdrygnęła się. - Kraby wywołują we mnie dreszcze. Już nigdy nie wezmę do ust tego świństwa!

- Idę tylko na rekonesans - ciągnął Cliff. - Zamierzam się rozejrzeć. Nie będę nic robił.

- W takim razie tym bardziej powinnam pójść z tobą - stwierdziła Pat. - Zresztą, Cliffie Davenport, jeśli mi nie pozwolisz - pójdę sama.

- No dobrze - ustąpił. - Pójdziemy razem. Ale teraz musimy odpocząć. To może być bardzo długa noc - szczególnie, jeśli się nic nie pokaże.

Było już po dwudziestej trzeciej, gdy opuścili prywatny hotel pani Jones. Noc była ciepła, a księżyc właśnie wynurzał się zza gór, pogrążając cały krajobraz w bladym świetle.

Cliff Davenport miał na sobie sportową kurtkę rozpiętą przy szyi, koszulę, flanelowe spodnie, a na nogach lekkie obuwie. Pani Benson ubrana była w dżinsy i golf. Nie chcieli jechać samochodem. Wybrali długi, pieszy spacer w kie-

52

runku Wyspy Muszli, poprzez pogrążony w świetle księżycy teren.

- Jaka piękna noc - zauważyła Pat, gdy przechodzili obok ogrodzenia z drutu kolczastego, otaczającego własność Ministerstwa

Spraw Wojennych.

- Gdybyśmy nie musieli martwić się o wielkie kraby!

Cliff przytulił ją do siebie i pocałował.

- Może nie będziemy musieli - powiedział. W jego głosie było więcej przekonania niż w nim samym. - Prawdopodobnie ostatecznie okaże się, że ślady należą do białego słonia, a odciski kleszczy zostawił Bartolomiej, szukając muszli.

Pat zaśmiała się, ale nie poczuła się spokojniejsza. Znaki na piasku nie mogły być śladami człowieka. Idąc wzdłuż wyspy widzieli, jak w większości namiotów wczasowicze przygotowują się do snu, rozświetlając ciemności lampami naftowymi. Grały radia tranzystorowe. Szczekał pies.

Posuwali się naprzód, okrężną drogą, omijając namioty. W końcu przybyli na krawędź wydm. Króliki czmychnęły w wysoką trawę.

Przystanęli na chwilę, by nasycić oczy pięknym widokiem, który rozciągał się przed nimi. W odległości mniejszej niż trzysta jardów srebrne morze pożerało szeroki, opustoszały pas plaży. Z każdą falą wgrzyzało się coraz głębiej w ląd, aby

53

oprzeć się w końcu o granicę z nagromadzonych wodorostów i podmytych głazów, którą przekraczało tylko podczas wyjątkowo silnych przyptywów.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. W tym momencie poczuli się, jak gdyby byli ostatnimi ludźmi, jacy pozostali na ziemi. Stopniowo zamierał w oddali śpiew i dźwięk odbiorników radiowych. Wyspa Muszli pogrążyła się w głębokim śnie. Teraz w każdej chwili mogły pokazać się kraby.

## Rozdział piąty

Usadowili się w zagłębieniu podobnym do tego, w którym rano zbliżyli się do siebie po raz pierwszy. Możliwe, że było to nawet to samo miejsce.

Cliff zerknął na zegarek. W jasnym świetle księżyca widział tarczę wyraźnie. Było dopiero pół do pierwszej. Odwrócił się do Pat.

- To dobre miejsce - powiedział. - Jest przyjemne, osłonięte i daje niezłą perspektywę, widać stąd całą plażę. Jeżeli tylko coś się poruszy, nie możemy tego nie zauważyć.

W odpowiedzi odwróciła głowę, aby odszukać swoimi ciepłymi wargami jego usta. Tym razem pozwoliła jego rękom błądzić dalej niż poprzednio. Poczuli, jak pod wpływem jej dotyku sztywnieje mu męskość.

Na miłość boską! Nie przebył chyba tej całej drogi tylko po to, żeby to zrobić. Równie dobrze mogli zostać w Lianbedr i pójść normalnie do łóżka. Niemniej teraz był już mocno podniecony. Żaden mężczyzna nie wytrzymałby takiej prowokacji.

55

Osunęli się w trawę. Leżeli bardzo blisko, bok przy boku i patrzyli na siebie.

- Dawno tego nie robiłam - Pat oddychała szybko, czując stwardnienie w jego spodniach. Cliff wyciągnął ręce spod jej pleców i wsunął je delikatnie pod sweter. Natrafił na sprzączkę stanika. Odpiął ją z nieco już zapomnianą wprawą i poczuł twardość jej nabrzmiałych sutek. Pojękiwała cicho z rozkoszy, kładąc się na plecach z zamkniętymi oczami.

Jej palce też nie próżnowały. Czuli drażnienie, gdy rozsuwała mu zamek błyskawiczny i błądziła później w spodniach. Czuli chłód nocnego powietrza na gorącej części ciała, którą wprawne palce wydobyły na zewnątrz. Oddychał z przyjemnością. Pat Benson z pewnością wiedziała co robi!

Ich wargi spotkały się znowu, języki splotyły się, wnikając głęboko. Oboje doświadczali przebudzenia czegoś, co spoczywało w nich uśpione przez tak długi czas. Nieraz zaczęli tracić kontrolę nad sobą. Nic już nie miało znaczenia... nawet wielkie kraby.

Cliff wyciągnął rękę spod ciepłego swetra Pat, aby odszukać zamek błyskawiczny jej spodni. Odpiął go, ona zaś uniosła nieznacznie biodra, pozwalając się rozebrać. Ciemny trójkąt miękkich, puszystych włosów, wyróżniający się na tle kuszącej białości oświetlonych bladym światłem księżyca ud. zdawał się skrywać przed nim taje-

56

mnice. Tajemnice mężczyzn, którzy wcześniej poznali to miejsce. Mężczyzn, którzy znaleźli tam spełnienie swych najdzikszych pragnień. I ostatniego mężczyzny, który odszedł, wybierając inną kobietę.

Cliff położył się między jej rozwartymi udami. Nadal trzymała jego stwardniały członek. Mogła teraz nim pokierować gdzie chciała, nurzając go najpierw w gorącej rzece swej namiętności, a następnie ześlizgując się niżej, aby ostatecznie, cał za całem, zniknąć w niej.

Gdy to się stało, nic już nie miało znaczenia. Ich ciała zwały się zespoliły ze sobą i pulsowały, gdy szeptały czule słówka.

Zakończyli gwałtowną konwulsją, po której ciągle jeszcze się trzęśli, drżeli, nadal tęskniąc za sobą.

Z ociąganiem odsunęli się od siebie i poprawili ubrania. Pat z potarganymi włosami i płonącymi policzkami - wydała się Cliffowi jeszcze piękniejsza.

- Jestem bardziej niż zadowolony, że pozwoliłem ci przyjść tu ze mną - szepnęła, zapinając zamek. - Obawiam się jednak, że ciągle musimy myśleć o tych nieszczęsnych krabach!

Wdrapał się na szczyt wydmy i spojrzał na plażę. Może przybliżyło się znacznie. Teraz dzieliło je od wydmy zaledwie około stu jardów, a może i jeszcze mniej. Miękki szum zbliżającego się przyptywu brzmiał w uszach Cliffa jak słodka

57

muzyka. Z oddali dochodził charakterystyczny, samotny jęk kulika, pasujący doskonale do opustoszałego obszaru otwartego morza, które się przed nimi rozciągało.

Nagle Cliff dostrzegł ruch. Skoncentrował spojrzenie na ginącym w dali odcinku plaży w pobliżu północnego przylądka. W pierwszej chwili myślał, że to cień puszystej, białej chmury, która na chwilę zasłoniła księżyc. Lecz ruch się powtórzył. Cisza. Minęła minuta. Dwie. To "coś" poruszyło się znowu. Posuwało się wzdłuż linii przyptywu, na przemian podnosząc się i upadając.

- Mój Boże! - syknął.

- Co się dzieje? - Pat Benson natychmiast znalazła się u jego boku i objęła go w pasie, przytulając policzek do jego ramienia. - Widzisz coś Cliff?

- Tam! - wskazał. - Obserwuj uważnie. Za chwilę się poruszy. Jest za tym stosem wodorostów. Zobacz!

Jej wzrok pobiegł za wyciągniętym palcem Cliffa. W świetle księżycy trudno było odróżnić określony kształt. To "coś" szło w ich kierunku chwiejnym krokiem, zatrzymując się co kilka sekund.

- To... to... - i ulga, i zdziwienie były w jej zduszonym głosie - człowiek!

- Masz rację! - Cliff patrzył wytrzeszczono-

58

nymi oczami na niezdarnie poruszający się kształt przed nimi - to... to...

- Bartołomiew! - odetchnęła. - Włóczęga!

Patrzyli urzeczeni, jak groteskowy kształt, mężczyzna, którego spotkali wcześniej, czołga się w stosach cuchnących wodorostów. Zbliżał się coraz bardziej. Mogli go teraz już obserwować dokładnie. Zobaczyli szeroko rozstawione, wybaluszone oczy, miotające wokół zachłanne spojrzenia, gdy tak myszkował w kamieniach, pozostałych po ostatnim przypiływie. Cały czas mrucał coś niezrozumiałego, niczym dzikie zwierzę, które zwiędziało świeży trop.

Cliff przyciągnął Pat do ziemi, aby schować ją w wysokiej trawie. Nie umiał wyjaśnić, co czuje. Dreszcze biegały mu po całych plecach. Pani Jones powiedziała, że ten człowiek jest nieszkodliwy. Jeżeli tak mówiła, to znaczy, że nie widziała nigdy tego wyrazu na jego twarzy. Cliff zaczął nagle żałować, że nie wziął swojego starego, służbowego rewolweru. Nigdy się nie bał żadnego mężczyzny, ale teraz modlił się, aby Bartołomiew ich nie zobaczył.

Włóczęga spojrział w ich kierunku, ale nie dał po sobie poznać, czy coś dostrzegł. Zrównał się z nimi i poszedł dalej. Niekiedy poruszał się na czworakach, częściej jednak szedł swoim powłóczęgim, teraz dobrze znanym im już korkiem, ciągnąc jedną nogę za sobą.

59

- Patrz! - stłumiony syk Pat sprawił, że Cliff odwrócił głowę. Patrzyła w kierunku, z którego przyszedł Bartołomiew. Krzyk zamarł jej w gardle. Zasłoniła usta ręką, oczy miała rozszerzone panicznym strachem.

Wtedy Cliff Davenport także je dostrzegł. Wynurzyły się z wysokich fal przypiływu, niczym armia potworów, powstająca z czeluści. Wielkie kraby przybyły!

Znajdowały się w odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów. Machały w powietrzu kleszczami, jak gdyby przywołując inne wciąż ukryte w morzu kraby, jakby namawiając, aby szły za nimi. Cliff zaczął liczyć. Doszedł do czterdziestu, ale nowych krabów wciąż przybywało. Miały pancerze koloru ciemnego piasku, błyszczące w świetle księżycy.

Wtedy zobaczyli paszcze potworów. Pat Ben-son z krzykiem zasłoniła oczy. Nigdy nie myślała o nich w taki sposób. Dla niej kraby zawsze były tylko pelzającymi skorupami. Ale te miały jakby twarze podobne do ludzkich. Złe! Ich głęboko osadzonym, żarzącym się oczom nic nie mogło ująć niepostrzeżenie.

Teraz zastępyły w bezruchu, me ruszały nawet kleszczami, jak gdyby czekały na rozkaz.

- Duże jak barany! - Cliff Davenport zaśmiał się histerycznie. - One są wielkie jak cholerne krowy!

60

- O Boże! - Pat chwyciła go kurczowo. - One są rzeczywiste. Naprawdę istnieją!

Obserwowali. Z morza wykradało się chyłkiem coraz więcej krabów. Wychodziły grupami, zamierając w bezruchu, gdy tylko znalazły się na suchym lądzie.

- O co chodzi? - szepnęła Cliff. - To dziwaczne. Jak gdyby na coś czekały! Kraby nie poruszały się.

- Tam! - Cliff dostrzegł ruch między falami. - Coś... o Boże! Spójrz tylko na tego!

- Nie, nie mogę w to uwierzyć! - Pat Ben-son była bliska hysterii. - To po prostu niemożliwe! To jakiś koszmar! Cliff, proszę cię, proszę, powiedz, że to tylko sen!

- Niestety, to nie jest sen - powiedział ponuro. - Choć chciałbym, żeby tak było. Spójrz na rozmiar tego potwora!

Król krabów! Nie było wątpliwości, że przybył ostatni, zgodnie z ich prawami. Dwukrotnie większy od reszty tych koszmarnych zjaw, zdawał się być personifikacją zła. Kołysząc się przeszedł powoli i stanął przed grupą pozostałych. Groźnie wymachiwał kleszczami, jak gdyby chciał sprowokować któregoś z nich do przeciwstawienia się swojej władzy. Niektóre kraby cofnęły się, zbijając się w gromadę.

- One... nawet się go boją! - wykrzyknął Cliff. - Ma nad nimi pełną władzę!

61

Strasliwe oczy przywódcy, oczy wielkości spodków, żarzyły się w jasnym świetle księżycy. W jakiś sposób porozumiewał się z innymi, wydając rozkazy. Ciężkim, chwiejnym krokiem ruszył naprzód wyciskając kleszczami ślady w piasku. Dwa lub trzy razy obracał głowę, po czym odwrócił się cały. Zamachał kleszczem, kreśląc koła w powietrzu. Kraby, ustawivszy się w kolumny i grupy, ruszyły za nim.

- Coś się dzieje - wymamrotał Cliff. - Sprawiają wrażenie, jakby coś wyczuły.

Profesor stał się niespokojny. Spojrział na nierówny teren, leżący pomiędzy nimi a właściwą wyspą - bezpieczną szosą na grobli. Piasek był miękki i głęboki. Z pewnością ludziom przeszkodziłby w biegu. Zaczął się zastanawiać, jak szybko gigantyczne kraby mogą się poruszać w takim terenie i czy on, i Pat mogliby je zdystansować.

- Nie wydaje ci się, że nas dostrzegły? - szepnęła Pat z niepokojem.

- Nie wiem - odpowiedział. Raczej nie sądzę, ale... przygotuj się do ucieczki. Trzymaj się mnie.

Wielkie kraby szły, klekocząc przy tym kleszczami. Przypominały maszerujący oddział wojskowy. Pokonywały drogę z dużą prędkością, lecz Cliff Davenport miał dręczące przeczucie, że to dopiero połowa ich możliwości.

Szły ciągle naprzód. Uchwycił mocno zimną i

mokrą rękę Pat. Kraby niemal się z nimi zrównały, zmierzając jednak najwyraźniej w kierunku najdalej położonego punktu południowego przylądka. Odetchnął z ulgą. Był gotów poderwać Pat i biec tak szybko jak nigdy dotąd, gdyby tylko dostrzegł, że przewodnik krabów daje swym „oddziałom” rozkaz, aby wkroczyć w głąb lądu. W głębi duszy przeklinał siebie za to, że zabrał Pat na plażę, ale dobrze wiedział, że nie było siły, która zmusiłaby ją do pozostania w Lianbedr.

Krab-potwór znajdował się zaledwie dwadzieścia jardów przed nimi. Nagle zatrzymał się. Cliff czuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Już miał zerwać się w szalonym biegu, żeby zapewnić sobie i Pat bezpieczeństwo, gdy wielki krab ruszył znowu. Mrozący krew w żyłach klekot "klik, klik, klik" rozniósł się echem po wydmach.

- Nie zauważyły nas - Cliff odetchnął z ulgą, widząc, jak armia krabów dalej kroczy wybranym tropem. - A jednak coś wyczuły. Zobacz, one prawie biegają!

Rzeczywiście. Kraby rzuciły się naprzód swoim rozchwianym, mechanicznym krokiem. Poruszały się z precyzją, co świadczyło o określonym celu biegu. Najazd na ląd nie był więc przypadkowy.

Cliff i Pat nie potrafili oderwać wzroku od gigantycznego przywódcy, który kierował zachowaniem pozostałych krabów za

pomocą ruchów kle-

63

szczy. Podporządkowywały mu się natychmiast, skręcając na prawo lub na lewo, przyspieszając lub zwalniając.

Było coś jeszcze na tej oświetlonej przez księżyc plaży, coś, co poruszało się w pewnej odległości przed krabami. Coś, co niezdarnie chwiało się na boki i staniało na nogach ze zdumiewającym podobieństwem do nich samych.

- Chryste! - Cliff Davenport klęknął na ziemi z wyrazem lęku i bezradności na szczupłej twarzy. - Oto, dlaczego tak gonią. Bartołemiew! On także ich nie widział!

To była okrutna prawda. Bartołemiew, który ciągnął jedną nogę za sobą, zatrzymując się co kilka kroków, aby poszperać w nagromadzonych stertach wodorostów, znajdował się zaledwie dwadzieścia jardów od krabów.

- Och, Boże, nie! - Pat Benson przywarła kurczowo do Cliffa. - Czy nie możemy mu jakoś pomóc? Przynajmniej go ostrzec? Powoli pokręcił głową.

- Nie - oddychał ciężko. - Nic nie możemy zrobić. On jest głuchy. Nie usłyszy. Przecież nawet ich nie widział. Już go prawie mają. O, mój Boże!

Najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że Bartołemiew nie wydał z siebie żadnego głosu. Cliff i Pat jak na dłoni widzieli to, co się działo. Mężczyzna schylił się, aby podnieść kolejny ka-

64

wątek drewna z ziemi. W tej samej chwili potężne szczypce chwyciły go za chorą nogę. Król krabów zajął się nim osobiście. Ponad klekotem podnieconych krabów słychać było trzask rozpryskującej się kości. Przez ułamek sekundy Bartołemiew był wolny. Cliff i Pat zobaczyli, jak poturłał się daleko od swego napastnika. Zamiast nogi miał teraz krwawy kikut, z którego chlustała szkarłatna ciecz, mieniająca się w świetle księżycy niczym najlepszy gatunek czerwonego wina.

Widzieli dokładnie jego twarz, gdy po raz pierwszy zobaczył kraby. Wielkie oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły, a zniekształcone usta zaczęły artykułować bezgłośnie obelgi, może prośby, a może modlitwy. Gwałtownym ruchem chwycił miejsce, w którym przedtem miał nogę. Przez palce tryskała krew.

Król krabów ponownie ruszył na swoją bezbronną ofiarę. Reszta stała z boku w kompletnej ciszy, nie próbując nawet zbliżyć się do ćwiartowanego mężczyzny. Oczywiście, taka nagroda należała się samemu królowi.

Ostry jak żyłotka kleszcz z zadziwiającą szybkością złapał drugą nogę, amputując ją z jeszcze większą łatwością. Dwa krwawe kikuty. Ramię mężczyzny protestowało. Następne cięcie. I następne.

Bezsilny i żalostny tułów ludzki wił się na zbrocznym krwią piasku. Oczy błagały o śmierć.

5 - Noc krabów

UJ

Potwór nie spieszył się. Podniósł z ziemi nogę i trzymając ją w górze, przyglądał się, jakby zafascynowany kapiącą krwią. Następnie rzucił ją błyskawicznym ruchem - zbyt szybkim dla oczu - w sam środek klekoczących krabów.

Wzmógł klekot. Zamieszanie. Zaczęły się klócić o smaczny kąsek. Niepotrzebnie się martwiły. Druga noga i oba ramiona spadły im z nieba. Klekot przypominał teraz serię z karabinu maszynowego.

Wielki krab nie interesował się pozostałymi. Miał to, czego chciał. Życie uciekało z Bartołemiewa szybko, lecz przekłeta świadomość wciąż jeszcze w nim tkwiła.

Pokryty krwią kleszcz zanurzył się kilkakrotnie w ciele swej ofiary. Wyciągnął wnętrzności, które zniknęły w przepastnych szczękach.

Gdy nie było już śladu po mięsie, dwie oglądające całą scenę istoty ludzkie usłyszały chrzęst łamanych kości. Nic nie mogło się zmarnować.

## Rozdział szósty

Nagle odgłosy pękania kości ucichły. Zapadła cisza, która była jeszcze okropniej sza niż dźwięki rzezi. Kraby przycupnęły na piasku, jak gdyby chciały oddać hołd królowi. Ten zaś patrzył na nie okrutnymi, strasznymi oczami.

Po Bartołemiewie nie było już śladu. Nie pozostał nawet kawałek. Na srebrnym piasku widniała jeszcze ogromna, ciemna plama, ale i ona znikła szybko zmywana przez morze, które falami wsysało ją w siebie, jak gdyby także chciało uczestniczyć w ponurej uczcie.

- Jakie to... jakie okropne! - Pat z trudem łapała oddech. Pewnie zemdlaby, gdyby nie opiekuńcze ramię Cliffa. Dodawało jej otuchy. Zwymiotowali razem w osłaniającą ich trawę wydm, cały czas obawiając się, aby odgłosy towarzyszące tej czynności nie dotarły do koszarnej armii morskich zjaw.

- Co one robią? - szepnęła, wyzierając zza szczytu wydm.

- Nic - odpowiedział Cliff. - Przynajmniej w tym momencie. Może czują się nasycone ucztą albo też przygotowują się, aby poszukać czegoś więcej.

67

- Nie sądzisz, że powinniśmy stąd odejść, póki jeszcze możemy? - nalegała.

Skinął głową. Wiedział, że to jedyna rozsądna rzecz, którą należałoby teraz uczynić. Chociaż coś jakby siłą trzymało go w tym miejscu... Był niemal zahipnotyzowany. Po prostu musiał zostać i patrzeć.

Klekot rozległ się znowu. Tym razem jednak mniej intensywny. Kleszcz króla, niczym ramię wyroczni szukające następnej ofiary, przecinał powietrze, zakreślał koła. Potwór znowu maszerował. Cliff odruchowo pochylał głowę, pociągając Pat za sobą. Krab na chwilę zatrzymał się wskazując miejsce, w którym jeszcze niedawno leżeli ukryci i ruszył dalej.

Dwie ludzkie istoty odetchnęły z ulgą. Tym razem los ich oszczędził.

Nagle kleszcz potwora znieruchomiał. Wskazywał władczo morze. Klekot wzmógł się ponownie. Armia olbrzymich, chwiejących się skorupiaków znowu zaczęła się poruszać. Fale pokrywały je szybko, gdy z powrotem zanurzały się w wodzie. Z wyjątkiem przewodnika - olbrzyma. Tylko on pozostał jeszcze w tyle za wszystkimi. Ociągał się z opuszczeniem suchego łądu, mierzył plażę spojrzeniem, jakby oceniał możliwości przyłączenia jej do swego podwodnego królestwa.

W końcu wśliznął się pomiędzy fale ruchem

68

pełnym ociężałej gracji i zniknął z pola widzenia. Morze obmywało miejsce, gdzie przed chwilą stał.

- A więc - Cliff wyprostował się i pomagał podnieść się Pat - odeszły.

- To było wstrętne, upiorne ohydne! - trzęsa się cała. - Och, Cliff, co to wszystko znaczy? Odeszły na dobre, jak myślisz? - W ostatnim pytaniu pobrzmiwała nutka nieśmiałej nadziei.

- Powrócą - powiedział smutno i zaczął prowadzić ją przez wydmy, z łatwością wybierając najlepszą drogę.

Księżyc znajdował się dokładnie nad ich głowami, widzieli każdy szczegóły terenu. Lekki wiatr wydymał nieznacznie płótna namiotów, w których spali ludzie, całkowicie nieświadomi tego, co wydarzyło się tak niedaleko od nich.

- Powrócą - powtórzył Cliff Davenport. - Nie ma nic pewniejszego na tym cholernym świecie. Zasmakowały w ludzkim mięsie i teraz już z tego nie zrezygnują. Dotychczas ginęli tylko nieszczęśliwcy, jak Bartolomiej, Ian i Julie. To dopiero początek. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wszystkie wtargnęły w głąb łąd... Ten olbrzym - przewodnik nie jest po prostu zwykłym, ogromnym krabem. On wie, co robi. On myśli! Jest zdolny zorganizować pozostałe w dobrze wyćwiczoną armię!

69

- O Boże! - Pat hamowała łyzy. - Aż głowa boli, gdy się o tym pomyśli. Nie możemy, ot tak po prostu, przejść do porządku dziennego nad tym, co zobaczyliśmy, Cliff. Musimy coś uczynić! Musimy coś zrobić, cokolwiek! - traciła kontrolę nad sobą. Gdy znaleźli się w okolicy Lianbedr, starał się zapanować nad sobą, wyciszyć histerię. Wioska miała tajemniczy, pełen grozy wygląd, jakby chciała ogłosić, że wie. Zdawała się mówić, że od początku o wszystkim wiedziała, i teraz tylko czeka.

- Tak - skinął głową. - Jestem w pełni świadomy mojej odpowiedzialności. To, czego świadkami byliśmy tej nocy, jest jedną z naj-straszniej szych rzeczy, jakie oglądał kiedykolwiek rodzaj ludzki. Ciągłe jeszcze nie mamy dowodu, ale to nie szkodzi. Zamierzam stanąć na głowie, żeby przekonać władze, iż te stwory istnieją naprawdę.

- Jak?

- Po pierwsze musimy odpocząć - przystanął w drzwiach hotelowych. - Rano dzwonię do Londynu. Do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Mam tam przyjaciela, który niedawno pomógł mi wyjść z tarapatów. Pomógłby mi pewnie znowu, ale obawiam się, że nie zajmuje dostatecznie wysokiego stanowiska. Muszę dotrzeć wyżej. Z

70

początku może nawet będę wyśmiewany, ale muszę nalegać i nalegać, i nalegać. Muszę...

- Musimy - przypomniała mu.

- Dziękuję ci. Pat - uściśnięła jej rękę. - Pamiętaj w co wchodzisz. Będą się z nas śmiać. Nie mamy żadnego faktycznego dowodu, oprócz tego, co widzieliśmy na własne oczy. Musimy znaleźć sposób, aby ich przekonać. Jeżeli nie - uśmiechną się sztucznie - to przynajmniej będziemy mieli czyste sumienia, kiedy... kiedy...

Nie dokończył zdania.

- Lepiej chodź do mojego pokoju - szepnął, gdy na palcach wchodzili po schodach. - Po tym, co dzisiaj przeżyliśmy, wołałbym, żebyś nie była sama.

Rozebrali się i wcisnęli do jednoosobowego łóżka. Nagle zdali sobie sprawę, jak bardzo są wyczerpani fizycznie i psychicznie. Nawet bliskość nagich ciał nie wzbudziła pożądania. W ciągu kilku minut pograżyli się w niespokojnym śnie.

Cliff Davenport był na dole, ubrany i ogolony, jeszcze zanim pani Jones zaczęła przygotowywać śniadanie.

- Wielkie nieba, profesorze! - spojrzała zaskoczona, gdy wsunął głowę do kuchni. - Tak wcześniej pan wstał...

- Chciałbym skorzystać z telefonu, ciociu - uśmiechnął się, lecz oczy pozostawały poważne.

71

- Czemu nie, proszę. Czy coś się stało, profesorze? - zapytała.

- Sprawa nie cierpiąca zwłoki, ciociu - odpowiedział. - Muszę zadzwonić do Londynu.

- Telefon jest tam - powiedziała, rozbijając jajka nożem.

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna wszedł właśnie do swojego biura, gdy zadzwonił telefon. Potrząsnął głową w zniecierpliwieniu. Mariori nie powinna łączyć o tej porze. Wiedziała przecież, jak bardzo nie lubi, gdy przeszkadza mu się przed dziesiątą.

- Grisedale! - powiedział oschle, podnosząc słuchawkę.

- Strasznie mi przykro, że pana niepokoję, sir - odezwała się sekretarka - ale na linii jest pewien dżentelmen, który bardzo nalega. Twierdzi, że musi z panem natychmiast rozmawiać w sprawie wagi państwowej.

- Czyżby, do licha - Grisedale wycedził przez zęby. - Pewnie jakiś dowcipniś.

- Przedstawił się jako profesor Davenport - ciągnęła. - Dzwoni skądś w Walii i twierdzi, że pan go zna.

- Połącz - warknął Grisedale. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia.

- Clifford! - ryknął w momencie, gdy zostali połączeni. - Co ma, do diabła, oznaczać dzwonenie do mnie o tak wczesnej porze? Co?

72

No jasne, zapewne będę cię musiał wysłuchać. No, mów. Spróbuję się nie śmiać.

Całe pięć minut Grisedale słuchał tego, co miał mu do powiedzenia Cliff Davenport. Wzdychał przy tym i mlaskał językiem, ale się nie śmiał. Na jego twarzy pojawiło się zatroskanie. Wolną ręką wyciągnął papierosa z papierośnicy. Zapalił.

- Chryste! - wykrzyknął w końcu. - Gdyby to był ktokolwiek inny, tylko nie ty, Cliff, kazałbym go zbadać psychiatrze i zamknąć za rozpowszechnianie pogłosek, mogących wywołać niepokój społeczny i panikę. No, tobie wierzę, ale czy jeszcze ktoś ci uwierzy, to już całkiem inna sprawa. Tak, tak, wiem, że jestem tu najważniejszy, ale mimo to zaledwie trybem w maszynie.

Wszystko jeszcze musi przejść przez ręce i głowy urodzonych sceptyków. Tak, tak, oczywiście, zdaję sobie sprawę, jakie to pilne. Poczekaj chwilę. - Przerwał, wyciągnął z biurka notatnik i zaczął wertować strony. - Jutro lecę do Belgii. Rozmowy na najwyższym szczeblu. Poślę ci pułkownika Goode. Nie, nie. To wszystko, co mogę zrobić. Tak, naprawdę wszystko w tej chwili. Goode spodoba ci się. To złośliwy drań. Nie znoszę go! Ale jeśli jest coś w tym, co mówisz, to on jest właściwym człowiekiem. Jutro o tej godzinie będziesz miał połowę oddziałów stacjonujących w tym kraju. Za-

73

dzwoń, jak wrócę w piątek, jeżeli jeszcze coś wyskoczy. Powodzenia, stary.

Grisedale odłożył słuchawkę i zapalił następnego papierosa.

- Mam nadzieję, że nie zwariował - mruknął.

Wykręcił numer wewnętrzny.

Pułkownik Goode przybył do Lianbedr późnym popołudniem. Był niskim, przysadzistym człowiekiem. Górną wargę wieńczył sumiasty wąs, zaś jego różowa cera nie zawdzięczała bynajmniej swojej barwy promieniom słońca. Jego jedyną miłością w życiu była whisky. Pochaniała ona większość jego myśli. Również teraz, gdy wysiadł z samochodu, marzył o tym, żeby się napić.

- Pan pułkownik Goode, jak sądzę? - przybysz podniósł oczy, aby zobaczyć Cliffa Davenporta schodzącego po schodach, uśmiechniętego i z wyciągniętą ręką.

Więc to jest ów dziwak, o którym mówił Grisedale. Zdaje się, że stary wyga uważa go jeszcze za człowieka przy zdrowych zmysłach.

- Nie miałbym nic przeciwko szklaneczce whisky - tychnął okiem Goode. - Suszy mnie.

- Obawiam się, że w tym miejscu nie mają pozwolenia na sprzedaż alkoholu. - Cliff zaczął tracić sympatię do nadętego indywiduum.

74

- Jest to miejsce...

- Które nie ma pozwolenia! - przerwał pułkownik Goode. - Po co w takim razie tu przyjechałem? Kiedy komandor Grisedal opowiedział mi waszą historię, pomyślałem sobie, że właśnie w tym domu powinienem dostać whisky!

Cliff Davenport zacisnął pięści, starając się opanować wzbierający w nim gniew.

- Jeżeli tak, to jadę na drinka do wioski - pułkownik zawrócił do samochodu. Wyjął mały neseser. - To należy zabrać do mojego pokoju. Zobaczymy się później.

Profesor stał i patrzył, jak Goode odjeżdża. Pat Benson, która podeszła do niego od tyłu, objęła go ramieniem.

- Niepotrzebnie się zdenerwowałem - mruknął Cliff. - Tak, czy owak musimy spróbować go przekonać.

Naturalnie, pułkownik Goode znalazł swoją whisky... Stało się to oczywiste dla Pat Benson i Cliffa Davenporta, gdy wysłannik ministerstwa opadł na fotel, rozsiadając się w nim wygodnie. Wszyscy inni goście poszli już spać, zaś pani Jo-nes - wyczuwając, że zanoszą się na coś ważnego - upewniła się, czy ta trójka ma zapewniony niezbędny spokój.

Pułkownik beknął, powieki mu opadły.

- A teraz - powiedział - o co chodzi w tej całej bzdurnej sprawie?

75

- Po pierwsze, pułkowniku - zaczął Cliff, siadając na brzegu stołu - nie można tego nazwać bzdurą. I pani Benson, i ja widzieliśmy te kraby. Byliśmy świadkami, jak ostatniej nocy złapały i pożarły miejscowego wólcę z nazwiskiem Bartołomiew.

- Whisky - Goode zaśmiał się ordynarnie

- oto, jak działa na was whisky. Na mnie też tak działa. Widziałem kraby tysiące razy. Szczególnie przy jedzeniu. Ale nie przejmujcie się nimi. Nie zrobią wam krzywdy. Zawsze rano znikają.

- Pułkowniku! - Cliff spuścił pięści na stół.

- Ja nie żartuję. Tu chodzi o życie ludzkie. Tu może wydarzyć się tragedia.

- Brednie! - Goode wymachiwał ręką w powietrzu, a powieki zaczęły mu znowu opadać.

- Wszystko to brednie. Cholerne brednie. Nie chciałem tego mówić szefowi. W końcu nie codziennie opłacają mi wycieczkę na wybrzeże. Jutro mam być z powrotem. Muszę wcześniej wstać i wyjechać. Idę spać.

- Pułkowniku! - Cliff uderzył pięściami w stół próbując nie dopuścić do tego, żeby Goode zasnął. - Chcemy, aby tej nocy pojechał pan z nami na Wyspę Muszli. Chcemy pokazać panu te potwory. Może wtedy nam pan uwierzy.

- Idę do łóżka. - Pułkownik Goode wstał, chwając się na nogach. - Jeżeli chcecie pójść i

76

posiedzieć sobie na plaży, nie będę was zatrzymywał. - Zatoczył się w kierunku drzwi i uwiesiwszy się na nich, resztką sił wykonał lekki obrót. - Zamówicie dla mnie wczesne śniadanie. Muszę wcześniej wyruszyć w drogę.

Cliff i Pat usiedli w ciszy, wśluchiwali się w odgłos jego kroków, gdy wchodził na piętro, do swego pokoju.

- No tak. - Cliff zwiesił głowę i wepchnął ręce głęboko do kieszeni. - Tyle tylko wyszło z naszej próby ostrzeżenia władz. Teraz jedyne, co nam pozostaje, to czekać na to, co się dalej wydarzy.

Pułkownik Goode, spocony, zasiadł do późnego śniadania. Załzawionymi oczami wpatrywał się jadownicę w dwójkę siedzącą z nim przy jednym stole. Do tej pory zjedli zaledwie po grzance z marmoladą.

- Właśnie wysłuchałem wiadomości - profesor pochylił się w poprzek stołu. - Zniknęły następne dwie osoby. Tym razem aż w Rhyl. Co pan na to, pułkowniku?

- Buuu... - Pułkownik zaczął pakować owsiankę do ust. - Ludzie nie chcą nauczyć się pływać, a zaczynają wygłupiać się w wodzie. Przywrócić obowiązkowy pobór do wojska, ot co. Wszystkich nauczyć pływać!

Cliff westchnął i wziął się za marmoladę. Teraz miał naprawdę twardy orzech do zgryzienia.

77

Jego przestrogi poszły na marne. W pierwszej chwili chciał osobiście jechać do Londynu. Wiedział jednak, że nie może. Będzie potrzebny na miejscu. A poza tym nie chciał zostawić Pat samej - z krabami czy też bez nich.

## Rozdział siódmy

Wartownik nudził się. Nocna warta zawsze go nużyła. Tak, jak gdyby było czego strzec. Kilka bezałogowych samolotów, przy których lubili dłużyć naukowcy. Bawili się nimi, cwaniacy, ale w tym przypadku na koszt podatników! Chryste, komu by się chciało kraść któryś z nich.

Ciągle myślał o tamtym dniu, udało mu się. Nie mógł zrozumieć, dlaczego dali mu przepustkę. Zwłaszcza, że na początku tygodnia był alarm bombowy.

Ziewnął i oparł się o róg betonowego blok-hauzu. Ten cholerny karabin ważył zbyt wiele, żeby go nosić przez całą noc. Oparł broń o ścianę i sięgnął do górnej kieszeni munduru po zmiażdżoną paczkę papierosów. Znalazł jednego, wyprostował go i zapalił. Zaciągnął się głęboko, ściśle wbrew regulaminowi, oczywiście, ale dostałby świra, gdyby nie zapalił między zachodem a wschodem słońca.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pozwolą mu siedzieć w którymś z baraków. Pewnie myślą, że by kimnął. Pewnie by i tak zrobił. Powieki ciężkożyły nieznośnie.

79

Księżyc znowu świecił jasno. Spojrzał do góry i zastanawiał się, dlaczego tam nikt nie poleciał, żeby namieszać. Co za głupie myśli! On by nie poleciał. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę piszczą w kosmosie. Wszystkie potwory z piekła rodem i Bóg wie, co jeszcze.

Klik - klik.

Wyprostował się. Co to było? Brzmiało, jakby ktoś nadawał przestarzałym alfabetem Morse'a. Podniósł broń.

Klik - klik, kliki - klik. O co chodzi, do diabła! No tak, to pewnie konie wdary się za ogrodzenie. Zawsze wycierały o nie sierść. Ale nigdy nie sądził, że faktycznie zdołają wdrzeć się do środka.

Westchnął. Lepiej pójść je wystraszyć.

Wtedy zobaczył pierwszą parę oczu. Przypominały mu oczy świstaka. Świecą jak reflektory land-rovera komendanta. Pojawiło się ich więcej. Jeszcze więcej.

Staną jak porażony. Najbliższy znajdował się o nie więcej niż piętnaście stóp do niego. O co chodzi?!

Przelknął ślinę. Pieprzone kraby!

Podniósł karabin. Po tym nie będą miały wiele do powiedzenia. Nacisnął spust. Ogluszający huk rozniósł się echem po betonowych budynkach i zamarł gdzieś daleko na morzu.

Nie mógł w to uwierzyć: ten drań nawet nie

80

drgnął. Niedobrze. Zbliżał się do niego. Wszystkie się zbliżały. Kołysząc się. Bez pośpiechu.

Wypalił znowu. Drugi raz. Trzeci. Strzelał, aż magazynek się opróżnił.

- Uciekać! - pomyślał w panice. Serce waliło jak młot. Kręciło mu się w głowie. I nie chodziło o to, że miał odcięty odwrót, choć samo to niejednego przyprawiłoby o utratę zmysłów. Gorszy był fakt, iż wielki potwór zagroził mu drogę. To sprawiło, że przekroczył tę cienką granicę, która dzieli rozsądek od szaleństwa.

Krzyknął na całe gardło i chwycił karabin za lufę. Kolba roztrzaskała się w drzazgi na pancernym kleszczu. Cofnął się i wybuchnął śmiechem. Przybrał pozę do walki, zaciskając pięści.

- W porządku! - ryknął. - Chodźcie, dranie. Zobaczmy, jak się umiecie bić!

Ostre, ogromne szczypce wielkiego kraba dosięgły jego głowy i rozłupały czaszkę na dwie części. Wartownik był martwy. Miał szczęście. Nie podzielił losu Bartolomieja, który przez cały czas czuł, jak nad jego ciałem pastwi się potwór.

Światło reflektora zdążyło ukazać oczom przerażonych strzelców z wieży, to co przed chwilą stało się na dole. W ostatnim kawałku ludzkiego mięsa, które zniknęło w przepastnych szczękach olbrzymiego potwora, nie rozpoznali oni jednak części ciała swego kolegi. Wszystko, co widzieli, to kraby. To wystarczyło.

6 - Noc krabów

61

- Do diabła! - wykrzyknął sierżant, podnosząc karabin maszynowy i celując w pełzającą masę. - Co to ma być?! To je przerzedzi.

Odgłos serii karabinowej nappełnił nocne powietrze.

Klik - klik, kliki - klik.

Cały obóz był na nogach. Ktoś dostał się do magazynu z bronią. Zewsząd wybiegli uzbrojeni mężczyźni. Szukali stanowisk, z których należało otworzyć ogień. Wystrzeliło działo.

Klik - klik, kliki - klik.

Ziarnka grochu czy pociski. Dla krabów nie stanowiło to większej różnicy. Pociski karabinów i dział po prostu odbijały się od pancerzy. Wystarczyło jednak, żeby je zdenerwować. Bardzo zdenerwować. Nie podobał im się także błysk ognia wydobywający się z luf. A nade wszystko miały przeciwieństwo w perspektywie słodkie, miękkie ludzkie mięso.

- Chryste! - wykrzyknął strzelec z wieży, rezygnując z ponownego załadowania magazynka. - To ich nawet nie tknęło. Równie dobrze mógłbym strzelać grochem!

Nagle usłyszał trzask drewna pod sobą i poczuł, jak ześlizguje się w dół.

- Przegryzły tę cholerną wieżę! - zdążył jeszcze krzyknąć, zanim spadł - prosto w otwarte szczęki i kleszcze.

Dwóch snajperów odrzuciło karabiny i ruszy-

82

ło pędem do bramy. Za nią widniała szosa na grobli. Prawdopodobnie by im się udało, gdyby brama nie była zamknięta.

Zaczęli wspinać się. Dopadły ich bezlitosne kleszcze. Bez nóg spadli na ziemię.

Krab - przewodnik nagle zamachał kleszczami, klekocząc głośno. W jednej chwili cała jego armia znieruchomiała. Skorupiaki czekały na rozkazy, nie mając odwagi przeciwstawić się dowódcy. Porzuciły poszarpane ciała ludzkie.

Wielki kleszcz wskazywał w kierunku brzegu. Odwrót. Mechanicznym krokiem podążyły w stronę morza. Nic nie było przeszkodą na drodze. Ogrodzenie z drutu kolczastego zostało już wcześniej rozerwane.

Odejściu krabów towarzyszyło kilka strzałów. To był przejaw bezsilności i wściekłości świadków tragedii. Gdy złowieszczy klekot oddalał się coraz bardziej. Wyspa Muszli zaczęła liczyć straty. Zawiadomiono już telefonicznie karetki pogotowia ratunkowego. Jednak na skutek wysokiego przyptywu musiały czekać nieopodal przez pół godziny, zanim mogły przejechać zalaną wodą szosę na grobli.

Z pobliskich kampingów zaczęły się schodzić tłumy ludzi. Przynieśli ze sobą apteczki podróżne, pomagali bezinteresownie. W tłumie znaleźli się też i tacy, którzy uwielbiali katastrofy. Jak

83

wampiry pożerali wzrokiem okaleczone ciała. Ten widok przyprawiał o mdłości.

Straty nie były wielkie w porównaniu z rozmiarami ataku. Pięciu zabitych: pierwszy zginął strażnik, potem dwóch strzelców oraz dwóch nieszczęśników, którzy byli na tyle głupi, że próbowali ucieczki za ogrodzenie.

W ślad za ambulansami przyjechała policja.

- Dobry Boże! - niewielu żołnierzy pamiętało taką bladeść na twarzy niewzruszonego zazwyczaj sierżanta Hughesa. - Co to było, na litość boską?

- Kraby - krzyknął przebiegający żołnierz. Zatrzymał się na chwilę, aby zapalić papierosa. - Przekłęte, wielkie kraby, tak duże jak konie!

Niedługo po tym wydarzeniu zrobił się prawdziwy tłok na linii telefonicznej do Londynu.

- Przykro mi, Clifford - powiedział Grise-dale patrząc na Cliffa Davenporta i Pat Benson. Siedzieli w Yictorii w Lianbedr przy szklaneczce whisky. - Przykro mi, że ci nie uwierzyłem. Naprawdę. Ściągnęli mnie z Belgii we wczesnych godzinach rannych i przyjechałem, jak tylko mogłem najszybciej. Ten dureń Goode!

- Nie obwiniaj go - Cliff głęboko zaciągnął się fajką - nawet gdyby mi uwierzył i pojechalibyśmy na plażę, to i tak nie powstrzymalibyśmy ataku. A najbardziej prawdopodobne, że natknę -

84

libyśmy się na kraby i teraz nie mógłbym ci opowiadać tej całej historii.

- Zawsze szukałeś w ludziach lepszych stron - zauważył Grisedale z uśmiechem. Teraz jednak skończyły się już żarty. Na miejscu roi się od policji, wojska i prasy. Każda gazeta snuje najbardziej nieprawdopodobne domysły, a tłumy chłoną sensację. Musieliśmy ewakuować ludzi z wyspy, ale i tak każdy hotel pomiędzy Rhyl a Borth pęka w szwach. Wszędzie jest pełno ciekawskich. Jeżeli jeszcze raz zaatakują... - głos mu się urwał.

Cliff Davenport skinął głową. Przed nim leżała mapa walijskiego wybrzeża.

- Zaczniemy od początku - powiedział. - Pierwszy raz zobaczyliśmy te ogromne kraby tydzień temu. Mój siostrzeniec i jego narzeczona zniknęli tydzień wcześniej - więc możemy przypuszczać, że potwory pojawiły się w tych rejonach dwa tygodnie temu. Stanowią dziwny gatunek, nie znany dotąd zoologom. Jesteśmy zdani na ślepe domysły co do ich pochodzenia. Czyżby to podwodne eksperymenty nuklearne w innej części świata spowodowały, że rozrosły się do tak nieprawdopodobnych rozmiarów? To tylko moja teoria. Teraz sprawą najważniejszą jest to, czy sobie z nimi poradzimy. Jak i kiedy zlokalizujemy ich podwodną kryjówkę? Musi się ona znajdować gdzieś na wybrzeżu, pomiędzy

85

Rhyl a Borth. Ale gdzie? W morzu mogą być tysiące grot zdolnych pomieścić miliony tych bestii.

- Osobiście - przerwał Grisedale - sądzę, że kraby nieco przeliczyły się z siłami, gdy zaatakowały bazę Ministerstwa. Zapalił następnego papierosa. - Może drugi raz już nie spróbują.

- Nie wierz w to - odpowiedział profesor. - Nie poniosły żadnych strat. Przeżyły ogień dział i karabinów. Na ich czele stoi kolosalny krab, którego nazwałem królem. Możesz mi wierzyć - on myśli. Jest przebiegły. Ten atak to był zaledwie rekonesans. Pływacy byli dla nich łatwym łupem, a teraz wygląda na to, że sprawdzają, jak sobie poradzą na lądzie. Odkryły, że pociski nic im nie mogą zrobić, więc następnym razem pozwolą sobie na więcej. Inwazja odbędzie się na większą skalę i dotknie któreś z miast.

- Pożaluj tego - Grisedale wyraźnie żartował. - Armia ma czołgi w każdej wiosce i mieście, plus oddziały w pełnej gotowości bojowej z moździerzami i granatami. A jeżeli to im nie wystarczy, wtedy RAF poczęstuje je z powietrza.

- Nie bądź taki pewny - twarz Cliffa Davenporta była poważna. - Nie widziałeś tych potworów, Grisedale. Gdybyś je zobaczył, przestałbyś żartować i zrozumiałbyś dokładnie, o czym mówię. Uwierzę, że można pokonać te stwory, gdy zobaczą na własne oczy, jak z ich pancerzy zostają drzazgi.

- Zakładam, że jeszcze nie wracasz do Londynu - zapytał z pewną delikatnością Grisedale, gdy dostrzegł, jak Cliff obejmował Pat w talii.

- Nie - zapewnił Cliff. - Sądzę, że jeszcze trochę tu pobędziemy. Nie mam wątpliwości, co przydarzyło się Ianowi i Julie i chciałbym teraz pomóc innym.

- Dobry z ciebie człowiek. - Grisedale wstał. - Cóż, mam jeszcze spotkanie w Bar-mouth po południu, więc muszę się spieszyć. Będziemy w kontakcie.

Krótko po północy Cliff Davenport wyszedł po cichu ze swojej sypialni. Był bez butów, w samych skarpetkach. Delikatnie, na palcach szedł wzdłuż korytarza i miał nadzieję, że nikt go nie usłyszy. Serce biło mu szybko, a w ustach czuł suchość.

Przynajmniej raz nie myślał o krabach. Teraz armia miała się z nimi rozprawić.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju numer 4. Wiedział, że Pat chce, aby do niej przyszedł. Od tamtej nocy na wydmach nic więcej między nimi się nie zdarzyło. Ich umysły pochłaniał całkowicie dramat rozgrywający się wokół. Oczywiście, logicznym rozwiązaniem byłoby, ażeby przenieśli się do jednego pokoju. Niestety, u pani Jones nie wydawało się to możliwe. Ciocia musiała wiedzieć o wszystkim i najprawdopodobniej nie zaakceptowałaby tego pomysłu.

87

Ręka mu się trzęsła, gdy oparł ją na klamce. Wszedł, zamykając cichutko drzwi za sobą.

- Cliff! - życzliwy szept rozwiął wszystkie jego obawy. Noc była ciepła, a ona leżała naga na pościeli. Choć minęła już pełnia księżycy, srebrzyste światło, które przenikało przez małe okienko wystarczyło, aby zobaczyć każdy szczegół jej ciała. Miała wspaniałe, zaokrąglone piersi. Dostrzegł też jej zmieszanie. Wyjęła rękę spomiędzy ud.

- Myślałam o tobie - odetchnęła głęboko. Usiadł obok na łóżku. Szczupłe palce dotknęły jego spodni, zapewne, aby ustalić cel niespodziewanej wizyty. Zaśmiała się miękko odkrywając, że wszystko jest w porządku.

Zaczął się rozbierać. Chłonęła oczami każdy jego ruch. Położył się, a ona nieomal natychmiast pociągnęła go na siebie.

- Strasznie się spieszysz - zasapał, gdy od razu pomogła mu wniknąć w siebie.

- Trzy noce czekałam na ciebie - dyszała. - Już zaczęłam myśleć, że ostatecznie zdecydowałeś się na związek platoniczny.

Dźgał ją jak szalony, falował, tracił kontrolę nad zmysłami.

- Czy to wystarczająca odpowiedź? - szeptał, lecz jej słowa zagubiły się w jękach i spazmach. Wdrapali się na najwyższy szczyt rozko-

szy, możliwy do osiągnięcia przez mężczyznę i kobietę.

- Cliff - Po pewnym czasie Pat przemówiła pierwsza. - Co... co będzie, gdy armia zrobi porządek z tą całą krabią sprawą? To znaczy... co stanie się z nami? Już nic nie będzie nas tu trzymało, prawda?

- Nic - pocałował ją znowu. - Już nic nie będzie nas tu trzymało. Myślę, że wtedy pojedziemy do Londynu.

- Pojedziemy? - zapytała drżącym głosem. Ta myśl nie dawała jej spokoju od czasu, gdy kochali się po raz pierwszy.

- Pojedziemy - zapewnił ją. Jej palce powędrowały w dół, próbując pobudzić go po raz drugi.

## Rozdział ósmy

Sam Owen zawsze łowił ryby nocą. Robił tak od młodości. Doświadczenie nauczyło go, że gdy nie ma tego przeklętego promu, który ploszy ławice, powoduje wiry przy ujściu, to i połowy są lepsze i jest więcej miejsca do poruszania się wokół przystani w Barmouth. Poza tym lubił pływać w księżycowe noce.

Był siłnym, małym, czterdziestodwuletnim mężczyzną. Morze stanowiło dla niego sens życia. Miał jedno jedyne życzenie - nie umrzeć przypadkiem na suchym lądzie. Gdy nadejdzie jego czas, pragnął odejść w spokoju - w swoim małym rybackim kutrze, daleko na otwartym morzu. Wtedy fale poniosą go hen, hen, gdzie nikt go nie odnajdzie.

Nie przejmował się ostrzeżeniami policji i Sił Zbrojnych. No więc dobrze, coś się stało na Wyspie Muszli. To było i c h zmartwienie. Dziesięć kilometrów w górę wybrzeża to przecież duża odległość! A ci głupcy, którzy się utopili? To



prawdopodobnie skurcz.

Sam Owen czuł się pojednany z całym światem, gdy jego łódź bujała się leniwie na falach w

91

samym środku ujścia rzeki poza przystanią. Jutro księżyc nie będzie sprzyjał połowom. Zapalił fajkę i odprężył się. To był dobry tydzień.

Pół godziny później wiedział, że trafił na połów swojego życia. W sieci było coś wielkiego, co przechylało łódź na rufę.

Cokolwiek to było, szarpało jak szalone. Wyciągając sieć, miał przed oczami drugiego Moby Dicka.

Woda speniła się. Dziób łodzi uniósł się w górę, a Sam Owen walczył. Za wszelką cenę musiał utrzymać równowagę łodzi. Nie mógł jednak sobie poradzić. Pozostała ostateczność. Będzie musiał przeciąć sieć i puścić wolno to, co się do niej dostało.

Światło księżyca odbijało się od stalowego ostrza jego noża, gdy wychylił się i zaczął ciąć. Widział, jak w środku coś się szamocze. Na Boga! Co to było?

Nóż był tępy. Nie mógł więc szybko przeciąć sieci i uciec. Teraz musiał się mozolić, pilując opornym ostrzem. Gdy wychylił się za burtę, coś pochwyciło go za nadgarstek. Coś, co było ostre jak brzytwa. Zanim się zorientował, jego zakrwawiona dłoń wraz z nożem wpadła z głuchym pluskiem do morza. Na srebrzystej tafli wody szybko rozprzestrzeniła się matowa, czerwona plama.

Krzycząc, zatoczył się do tyłu. Krew trysnęła z kikuta strumieniem. Na próżno usiłował zata-

92

mować jej uływ za pomocą natłuszczonej szmaty, którą gwałtownym ruchem przytknął do otwartej rany. Szkarłatna ciecz zalała mu twarz, osłepiła.

Łódź przechyliła się znowu i na rufie pojawiły się wielkie szczypce. Dwoje błyszczących oczu wpatrywało się w mężczyznę, który był teraz łatwym łupem. Gigantyczny krab wyczuł krew. Ludzką krew. Niezdarnie zaczął się wdrapywać na pokład.

Sam Owen przez czerwoną mgiełkę dostrzegł zbliżającego się potwora. Zdjął go blady strach. Zatoczył się na dziób. Krew

nadal tętniła z odciętego nadgarstka. Wiedział już, że tak czy inaczej umrze. Albo wykrwawi się na śmierć, albo ta apokaliptyczna bestia dopadnie go i pożre. Jego myśli zwróciły się w stronę morza. Zapragnał, aby słona woda oraz żyjące w niej ryby, które zawsze były dla niego pokarmem teraz napelniły jego płuca. Zdecydował się na śmierć, o której od dawna marzył.

Mimo ubywających szybko sił, przechylił się i wyskoczył za burtę. Kleszcz zacisnął się wokół jego kostki. Sam wiedział, że traci stopę. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Odniosł wrażenie, że zimna woda przywraca mu siły. Instynktownie próbował płynąć, lecz okazało się to niemożliwe. Czuł, że opada coraz niżej. Dotknął dna. Znowu zobaczył przed sobą czerwoną mgłę

93

i wokół pełno jarzących się oczu. Coś uchwyciło go za szyję. Było ostre. Kiedyś czytał o rewolucji francuskiej. Podobno gilotyna była bezbolesna. Zaraz się o tym przekona. Ciemność zamknęła się nad nim.

O godzinie 1.25 rozpoczęła się inwazja na Barmouth. Księżyc, choć już nie w pełni, nadal sprzyjał zamiarom krabów. Kilka nocy temu zauważono by je z pewnością wcześniej, ale i tak nie wpłynęło by to na ostateczny rezultat.

Pierwsi zobaczyli kraby żołnierze w czołgu na nadbrzeżu. - Patrz! - kanonier potrząsnął swoim kolegą, budząc go ze snu. - Są tutaj!

W ciągu kilku sekund działo zostało wycelowane w najbliższego kraba. Dokonano niezbędnych namiarów - z tej odległości spudłować wydawało się niemożliwością.

Działo wypluło pocisk prosto w skorupę zwierzęcia.

Krab przewrócił się, fragmenty pancerza fruwały w powietrzu. - Dostałem go! - zatriumfował kanonier. - Niezwyciężony? Więcej ołowiu! Damy im nauczkę!

Naładował działo ponownie i wycelował w pelzającą masę, lecz zatrzymał się, bo zobaczył niespodziewany ruch.

- Do diabła! - przeklął. - Ten drań się podnosi!

94

Rzeczywiście, potwór wstał z trudnością, jadownicie błyskając oczami. Wsparty przez inne kraby odzyskiwał równowagę.

Trudno było uwierzyć, że nie odniósł żadnych obrażeń, a pocisk drasnął tylko pancerz.

- Niemożliwe! - wymamrotał kapral. - Nic by tego nie wytrzymało - przynajmniej na tę odległość!

- A jednak wytrzymało - wtrącił kanonier, biorąc następny namiar. - Widzisz tamtego drania? Wielki jak dom jednorodzinny.

Zobaczmy, co na to powie!

Dźwięk eksplozji rozniósł się po nadbrzeżu.

Król krabów został siłą pocisku odrzucony do tyłu, lecz nie upadł. Przez kilka sekund jakby czekał oszołomiony, po czym ruszył dalej. Jego armia, w liczbie przynajmniej stu krabów, szła za nim. Ogluszający klekot wdzierał się w mózg.

Wielki kleszcz przeciął powietrze i zatrzymał się, wskazując na czołg. Nie mogło być mowy o pomyłce.

- Zamknąć wąż! - wrzasnął kanonier. - Idą w naszym kierunku!

Ktoś zatrzasnął wieko wążu. Żołnierze poczuli się bezpieczniej. Wróg był zbyt blisko, aby oddać jeszcze jeden strzał. Będą musieli wytrzymać w tym pudle, dopóki nie nadejdą posiłki. Kapral zapalił papierosa. Ręce mu się trzęsły.

- Tutaj się do nas nie dobiórą - zaniósł się

95

nerwowym śmiechem, który rozbrzmiał głuchym echem w ograniczonej przestrzeni. - Pamięta pan, sierżancie, jak ostatnio to żelastwo nam się zepsuło? Nie mogli nas przeholować i musieli reperować na miejscu. Dwa dni roboty.

- Zamknij się! - Nerwy sierżanta były napięte do granic wytrzymałości. Ani trochę nie podobały mu się te kraby.

Usłyszeli drapanie kleszczy o stal.

- Chodźcie, dranie! - wrzasnął histerycznie kapral. - Spróbujcie nas ruszyć!

- Na miłość boską, zamknij swoją jadaczkę! - Kanonier uderzył pięścią w twarz kaprala. Ten głową - w stalową ścianę. Osunął się w fotelu.

Kanonier poczuł, że czołg się rusza. To niemożliwe. Wyjrzał na zewnątrz. Dziesiątki krabów stłoczyły się wokół stalowej forticy. Po chwili znowu poczuł, jak żelastwo drgnęło. Do góry.

- One... one nas podniosły! - krzyknął do pozostałych. Kapral jeszcze nie odzyskał świadomości. Żołnierz potrząsnął nim gwałtownie.

- Obudź się! - wrzasnął histerycznie. - Obudź się. Niosą nas.

Czołg trząsł się i chybotał. Niektóre z krabów podierały go z dołu, podczas gdy inne trzymały w górze. Ich skorupy stanowiły

idealny środek

96

transportu. Kraby zmierzały w kierunku zbrocz przystani.

Sierżant zaczął krzyczeć, bijąc po twarzy swojego nieprzytomnego kolegę, lecz głowa kaprala nie stawiała oporu. Pod wpływem ciosów opadała bezwładnie to na prawo, to na lewo. Kraby się zatrzymały. Czołg przechylił się do przodu i przez ułamek sekundy wydawało się, jakby był zawieszony w powietrzu. Potem runął w dół. Potężny plusk. Mętna woda zamknęła się nad nim. Z głuchym łoskotem zarył w muliste dno i zaczął się w nim pograżać. W środku panowała cisza. Trzej mężczyźni byli martwi.

Siły Zbrojne pospieszyły z odsieczą, gdy tylko rozległ się pierwszy wystrzał z czołgu. Ledwie ucichł, a już dwie ciężarówki załadowane wojskiem ruszyły na miejsce ataku krabów. W ciągu trzech minut dojechały do przystani. W tym czasie kraby rozprawiły się z czołgiem.

Kierowca pierwszej ciężarówki, widząc co się dzieje, nacisnął hamulec. Stwory znajdowały się już wszędzie. Droga była nimi nabita. Zmierzały w kierunku miasta. Próba wycofania pierwszej ciężarówki nie powiodła się. Kierowca drugiej miał trudności ze skrzynią biegów. Nie było nadziei na uniknięcie konfrontacji ze zbliżającymi się potworami.

Żołnierze wyskoczyli z samochodów i rzucili

7 - Noc krabów

7 /

się na ziemię, ciskając przed siebie granaty i chwytając za broń.

Cała przystań oraz aleje miasta zapełniły się hukami wystrzałów. Błyski eksplozji rozświetlały ciemności. Chmury dymu wałyły ze zburzonego schronu morskiego, który teraz stanął w płomieniach.

Kraby powoli parły naprzód. Drogę zagradzały płonące jeszcze zgłiszczta, lecz one nie zwracały uwagi na płomienie. Były nieczułe na ogień!

Kapitan Oliver z Królewskiej Piechoty trzymał w ręce dymiący pistolet. Miał okopconą twarz, gdzieś przepadła jego czapka. Przegrali. Było to oczywiste. Nie zamierzał więc nadaremnie poświęcać życia swoich żołnierzy. Przekrzykując zgłęb wezwał do odwrotu.

Wycofując się, żołnierze zostawili ciężarówki. Za nimi znajdował się opustoszały plac z lokalami rozrywkowymi, huśtawkami i barami szybkiej obsługi. Rzucili się w jego kierunku.

Zewsząd wybiegali przerażeni ludzie. Mężczyźni w piżamach i szlafrokach zabierali swoje rodziny jak najdalej od pola walki.

Kobiety i dzieci krzyczały.

Kapitan Oliver obserwował, jak dwie ciężkie, transportowe ciężarówki podzieliły los czołgu. Kraby uniosły je z łatwością, przerzucając przez strome zbocze przystani. Ogień zaczął się rozprzestrzeniać. Rzędy budynków stanęły w pło-

98

mieniach. Płonąca belka spadła przed krocącym krabem. Odrzucił ją tylko na bok i szedł dalej.

- Nawet ogień nie jest w stanie ich zatrzymać! - wymamrotał Oliver. - Jakby przyszyły z samego piekła!

Dojeżdżały nowe transporty, coraz więcej żołnierzy z północy. Ustawiali moździerze i kierowali bezpośredni ogień w zwarte szeregi krabów. Te rozstępowały się, ale już w następnej sekundzie były znowu razem. Ani jednej ofiary!

O 3.30 król krabów ogłosił odwrot. Dał sygnał jak zwykle kleszczami. Niczym dobrze wyszkolona armia, potwory skierowały się z powrotem w stronę przystani i w ciągu kilku minut zniknęły z oczu patrzących na nie ludzi.

Bitwa o Barmouth była skończona. Ruszyły wozy strażackie. Wojsko przystąpiło do oczyszczania terenu. Ci, którym ocalały domy, wracali do mieszkań. Wielu opłakiwało swoich bliskich. I każdy zastanawiał się kiedy kraby powrócą - bo co do tego, że wrócą, nikt już nie miał wątpliwości.

W ratuszu miejskim panowała nerwowa i gorąca atmosfera. Było duszno. Zroszeni potem mężczyźni siedzieli po obu stronach długiego stołu. Słychać było pracujących na zewnątrz robotników, którzy usuwali gruzy. Ulice nagle zapełniły się turystami, którzy chcieli zobaczyć

99

skutki inwazji. Ignorowali oni bezustanne wezwania policji, aby trzymać się z dala od miejsca tragedii.

Cliff Davenport poluzował krawat i rozejrzał się wokół. Obszerna sala pękała w szwach. Musiały tu być ze dwie setki ludzi, wśród których przeważali przedstawiciele sił zbrojnych - zarówno grube ryby ze szczytów hierarchii wojskowej, jak i zwykli oficerowie. Obecny był również burmistrz z doradcami. Oczywiście nie brakowało też prasy.

- Panowie - Grisedale wstał i zwrócił się do zebranych. - Ostatniej nocy to miasto przeżyło atak, nie dający się porównać z niczym, czego dotąd doświadczyło w swojej historii. Przewidywaliśmy taki rozwój wydarzeń od czasu inwazji na Wyspę Muszli. Przedsięwzięto dostateczne środki ostrożności - jak nam się przedtem wydawało - w pełni odpowiadające wyzwaniu chwili.

Jednakże nie doceniliśmy wroga. Okazał się on odporny na broń, którą dysponujemy. Nie obawia się także ognia. Musimy podjąć natychmiastowe działania w celu zlokalizowania podwodnych kryjówek krabów. Gdy je odkryjemy, nie mam żadnych wątpliwości, iż nie przeżyją one naszego ataku. Zamierzamy tam umieścić odpowiednie ładunki, które eksplodują w wodzie.

100

- Czy ma pan na myśli broń nuklearną? - zapytał dziennikarz.

- Nie powiedziałem tego - odpowiedział Grisedale ze złością.

Mógł sobie wyobrazić, co po takim pytaniu przyniosą poranne doniesienia prasowe.

- Jest między nami - ciągnął dalej - profesor Davenport, znany biolog. On pierwszy odkrył obecność tych istot na naszych wybrzeżach i zgodził się z nami współpracować w celu ich zniszczenia. Jestem pewny, że jego znajomość dna oceanu okaże się nieoceniona w naszych poszukiwaniach. Dodam, iż niszczylińska działalność krabów, która na razie ogranicza się do tej części wybrzeża, może się rozszerzyć. Jeżeli te stwory nie zostaną zniszczone, będą się rozmnażać. Wówczas zagrożą nie tylko temu krajowi, ale całemu światu!

Szmer przebiegł przez salę. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Cliffa Davenporta, który po raz pierwszy w życiu poczuł się lekko zakłopotany, ale i dumny. Bezpieczeństwo ludzkiej rasy spoczywało w jego rękach. Ludzie prosili go, aby uratował ich od zagłady nadciągającej z głębin morza. To była piekielna odpowiedzialność.

- Ale nie musisz tam nurkować, prawda? - przez twarz Pat Benson przemknął wyraz przera-

101

żenia, gdy Cliff przy obiedzie w Lianbedr opowiedział jej, co zdarzyło się na zebraniu w ratuszu.

- Cóż, nie mogę przecież badać dna morskiego siedząc sobie bezpiecznie w motorówce - uśmiechnął się.

- W takim razie - odpowiedziała - to ja będę siedzieć w motorówce, a ty nie opuścisz mnie ani na krok, poczynając od tego

momentu.

Westchnął. Wiedział już, że gdy Pat raz coś postanowi, to nie ma sensu się z nią kłócić.

## Rozdział dziewiąty

Morze było spokojne. Jedyne wybrzuszenia na niezmażonej tafli wody pochodziły od "Królowej Walii", która powoli wypływała z przystani w Harbour. Z nieba lał się żar, ale Cliff Daven-port wiedział, iż niedługo znajdzie się w zimnych głębinach, gdzie nie dochodziło słońce. Po prostu inny świat.

W motorówce było pięć osób. Błada Pat Ben-son patrzyła w kierunku otwartego morza. Nie chciała ponownie oglądać zniszczeń na nadbrzeżu. Jej twarz zdradzała wewnętrzny niepokój. Sternik ubrany był w granatowy, marynarski mundur. Miał opaloną na ciemny brąz skórę. Całe życie spędził na przewożeniu turystów pomiędzy Barmouth a Fairbourne. Oprócz tego w łodzi znajdowało się dwóch przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wojskowych. Byli to młodzi ludzie, przysłani do ochrony profesora. Siedzieli patrząc na siebie niespokojnie.

Z tyłu dochodził ich warkot innej łodzi, o znacznie bardziej opływowym kształcie. Była to szybka motorówka-ślizgacz, na wypadek gdyby zaszła potrzeba nagłego odwrotu, ucieczki. Obok

103

plynęła kanonierka, szara i groźna. Od czasu do czasu ponad ich głowami przelatywał helikopter, zakreślając koła i oddalając się w kierunku Bar-mouth.

- Nawet jeśli założymy, że je znajdziesz - Pat myślała głośno - co wtedy zrobisz? Przecież niekoniecznie muszą gnieździć się w jednym miejscu. Mogą żyć w setkach jaskiń.

- Wiesz, nie sądzę - odpowiedział Cliff. - Pamiętasz tego olbrzyma, ich przywódcę? On je zorganizował. Muszą być gotowe na jego skinienie w dzień i noc. Przypuszczam, że jeśli w ogóle je znajdę, to będą wszystkie razem.

- Ale przypuśćmy - z trudnością przyszło jej wymawiać te słowa - przypuśćmy... że one ciebie znajdą pierwsze!

Wzruszył ramionami.

- Ktoś to musi zrobić - uśmiechnął się i klepnął ją w udo.

Pół godziny później zaczął ściągać ubranie i przebierać się w strój płetwonurka. Marynarz spojrział na niego z wyczekiwaniem.

- Popłyniemy blisko brzegu w kierunku tamtej ściany - krzyknął profesor ponad wyciem silnika. - Zaczniemy stamtąd.

Łódź zmieniła kurs. W ślad za nią ruszyły ślizgacz i kanonierka. W odległości około dwudziestu jardów od czoła ściany skalnej wyłączono silniki i zarzucono kotwice.

104

Pat podeszła do Cliffa. Ich wargi spotkały się. Spojrział na nią. Odziana w sweter i dżinsy, była dla niego teraz najdroższą osobą. Pomyślał o tym, co kryje się w tych mrocznych głębinach pod jego stopami. Dlaczego wypadło właśnie na mnie?

Dlaczego nie mogę powrócić z Pat do Londynu i zostawić władzom całej tej sprawy z wielkimi krabami? Wiedział, że nie ma jednak innego wyjścia. Pomyślał znowu o Ianie i Julie. Dopiero, gdy potwory znikną z powierzchni ziemi, będzie mógł rozpocząć życie na nowo.

- Będę ostrożny - obiecał.

Dwóch mężczyzn pomogło mu przejść przez burtę. Jeszcze przez chwilę, zanim zniknął w ciemnozielonej wodzie, widział niespokojną twarz Pat. Kiedy się zanurzył, zdał sobie sprawę z tego, iż tu jest zupełnie sam, zdany tylko na siebie. Na dole, w wodzie, nikt mu nie pomoże. Kanonierka mogłaby być równie dobrze tysiąc mil stąd.

Wkrótce znalazł się na dnie u podstawy ściany skalnej. Mały krab czmychnął przed nim w bok. Profesor mimowolnie wzdrygnął się. Ruszył po chwili ze zdwojoną energią.

Na dole było wiele grot - w większości zupełnie małych. W świetle wodoodpornej latarki zorientował się szybko, iż nie kryją one w sobie nic groźniejszego, niż kolonie zwykłych ukwia-łów. W przypadku większych jaskiń starał się być ostrożniej szy.

Wiedział, że nie jest to ruty-

105

nowe b?""? nie dna morskiego. Szukał znaków, które byłyby świadectwem obecności większej ilości krabów. Odciski potworów mogły być zmyte przez prądy. Sprawdzał zadrapania na skalnych ścianach. Właśnie one mogły powstawać przez ustawiczne przesuwanie się setek masywnych kleszczy.

Po upływie godziny wynurzył się na powierzchnię.

- Nic? - Pat pomogła mu wejść na pokład i podała kubek herbaty. W jej głosie była ulga.

- Jeszcze nie - zbeształ ją na żarty. - Wcale nie mówiłem, że będzie to proste i na pewno tutaj, ale przecież trzeba gdzieś zacząć. Jeśli tak dalej pójdzie, to przeszukanie dwustu mil wybrzeża zajmie nam okropnie dużo czasu.

- Jak wiele razy jeszcze zamierzasz nurkować? - zapytała widząc, że jeden z pomocników napelnia świeżą butlę z tlenem.

- Dzisiaj prawdopodobnie jeszcze cztery lub pięć razy - starał się przybrać obojętny wyraz twarzy - a jutro zaczniemy od samego rana.

Westchnęła, pomagając mu założyć napelnioną butlę na plecy.

Reszta dnia nie przyniosła żadnych interesujących odkryć. Wracając w kierunku pozostałości po przystani Harbour, zauważyli czolgi zajmujące pozycje na zniszczonym nadbrzeżu. Armia Brytyjska nie uznawała porażki.

106

Następnego ranka rozpoczęli poszukiwania natychmiast po śniadaniu. Noc przebiegła spokojnie, bez jednego alarmu wzdłuż całego walijskiego wybrzeża.

- Może dały za wygraną i wróciły, skąd przyszły - zauważyła Pat z nadzieją w głosie, gdy Cliff wdziewał strój płetwonurka.

- Bardzo w to wątpię - odpowiedział. - Tu chodzi o księżyc. Jak mówiłem wcześniej, to on wywabia je na brzeg. Ostatnia noc była bezksiężycowa. Za dużo chmur. Ale to wcale nie znaczy, że nie zaatakują w ciemności. Może mogłyby zaatakować nawet w pełnym słońcu.

Cliff Davenport zanurzył się, świadomy, iż resztę dnia spędzi w mrocznych głębinach. Inni płetwonurkowie przeszukiwali dno daleko stąd, w okolicach Colwyn Bay oraz Borth. Obawiał się, że z braku doświadczenia mogą nie zauważyć ukrytych krabów.

Drugiego dnia po południu odkrył gigantyczne pieczary. Dno morskie w tym miejscu pokrywał miękki piasek, leżało też kilka wielkich złomów skał i głazów, na których jednak nie odnalazł śladu obecności krabów. Skierował strumień światła do pierwszej

pieczone, która początkowo wydała mu się jeszcze jedną wielką grota z pojedynczym wejściem. Wtedy dostrzegł otwór w przeciwnym końcu. Sklepienie znajdowało się w przybliżeniu piętnaście stóp nad jego głową, zaś

107

omszałe ściany były porośnięte podwodną roślinnością.

Podpłynął bliżej i zaświecił latarką w otwór. W głębi dostrzegł korytarz o szerokości może dziesięć stóp, wysokości około dwunastu kończący się zakrętem. Odważył się popłynąć dalej. Natrafił na następny zakręt i wyczuł spadek poziom. Zakręt za zakrętem, tunel stawał się coraz szerszy.

Panowała tu taka ciemność, iż bez latarki nie mógłby zobaczyć zupełnie nic. Poruszał się ostrożnie. Próbował ocenić, jak daleko już się zapuścił. Doszedł do wniosku, że musi to być przynajmniej około trzystu lub czterystu jardów.

Naraz tunel rozszerzył się w wielką pieczarę, której rozmiarów mógł się tylko domyślać, bo światło jego silnej latarki nie dochodziło nawet do przeciwnych ścian.

Wtedy jedną z płetw dotknął czegoś, co było zbyt lekkie, jak na skałę i zbyt ciężkie, jak na podwodną roślinę. Skierował snop światła w dół.

Poczuł skurcz mięśni żołądka i ciarki na plecach, które nie zostały bynajmniej spowodowane przez chłód wody. Przed nim leżał kawałek skorupy, wielkości mniej więcej błotnika samochodowego i koloru mięsa. Nie mógł mieć wątpliwości, co do jego pochodzenia. Był to odłamek pancerza jednego z wielkich krabów!

Zdał sobie sprawę, że stoi jakby na półce

108

skalnej, wyrastającej na szerokość dwóch lub trzech jardów, z nagłym uskokiem tuż obok jego stóp. Zaświecił latarką przez krawędź i zgasił ją natychmiast. Poniżej znajdowały się obiekty jego poszukiwań - setki wielkich krabów, wszystkie stłoczone razem. Miał nadzieję, że śpią. Przynajmniej nie dostrzegł żadnego ruchu, gdy przez ułamek sekundy mignęły mu przed oczami. Teraz się modlił, aby światło z jego latarki nie zostało przez bestie zauważone. Miał wrażenie, że kraby zagrzebały się w swoich skorupach.

Cofnął się i oparł plecami o ścianę. Jego misja była skończona. Wszystko, co teraz musi zrobić, to wycofać się do łodzi i zameldować o odkryciu. Resztę zrobią władze. Zastanawiał się, czy naprawdę zamierzają tu wypróbować broń nuklearną. Jego zdaniem nie będzie takiej potrzeby. Wystarczyłoby wprowadzić silny ładunek wybuchowy do zewnętrznego tunelu, aby zawałło się sklepienie i pogrzebało te wybryki natury w podwodnym grobowcu, z którego nie będą w stanie uciec.

Nagle wyczuł ruch. Pochodził z tunelu, przez który wszedł. Coś płynęło, zmiernie w stronę wielkiej pieczonej, w której się znajdował. Woda zaczęła wirować. Wiedział, co to jest. W tunelu znajdował się jeden z krabów! Może wracał z polowania na otwartym morzu albo też był strażnikiem, którego uwadze udało mu się po prostu

109

ujść. Niezależnie jednak od funkcji tego potwora w armii krabów, jedna rzecz nie ulegała wątpliwości. Odwrót był odcięty! Przycisnął się plecami do ściany. Mógł tylko czekać. Czuł, jak monstrum zbliża się coraz bliżej. Coś musnęło jego stopę. Wzdrygnął się. Został dotknięty krabim kleszczem. Skulił się, i zaczął błagać wszystkie świętości, aby koniec nastąpił szybko. Nic się jednak nie stało. Powoli zaczął dochodzić do siebie. Potwór był nieruchomy. Pewnie tylko czekał. Przyglądał mu się, aby go za chwilę zaatakować!

Cliff wyciągnął ręce i wymacał szczelinę w ścianie. Była to wąska szpara, rodzaj alkowy. Zginając plecy, wcisnął się w nią. To nie było najmądrzejsze, ale czuł się tam o wiele bezpieczniej.

Nic się nie poruszyło. Nie wiedział jednak, czy wielki krab nadal znajduje się przy wejściu, czy też nie. Przyszło mu do głowy, że istnieje tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Nie była to niestety miła perspektywa.

Czas mijał. Cliff zaczął się niecierpliwie. Żałował, że nie ma przyrządu do mierzenia czasu spędzonego pod wodą. Wiedział, iż w butli musi już być niewiele tlenu. Miał niewiele sytuacji do wyboru. Mógł albo ruszyć naprzód i spróbować przechrzyc kraba - wartownika, albo zostać i udusić się.

110

Wyprostował się i zaczął ostrożnie przesuwając się wzdłuż półki skalnej, w kierunku tunelu.

- Już powinien być z powrotem - powiedziała Pat Benson, zerknąwszy po raz setny na zegarek. Niespokojnym wzrokiem spojrzała na dwóch przedstawicieli Ministerstwa. - Co mu się mogło stać?

- Musi już mieć mało tlenu - powiedział Stan Williams, młodszy z mężczyzn, próbując uśmiechem dodać jej odwagi. - Może jest tam tak długo, ażeby przebadać tyle terenu, ile to tylko możliwe. Najdalej za dwadzieścia minut powinien się wynurzyć. Minuty mijały powoli. Pat była coraz bardziej zdenerwowana. Najchętniej wyskoczyłaby za burtę i zanurkowała tak głęboko, jak tylko się da, aby przynajmniej spróbować odszukać mężczyznę, którego kocha. Przez fakt, że nie robiła nic, czuła się okropnie beznadziejnie.

- Dziesięć minut - Stan Williams wstał i ruszył w kierunku małej kajuty. - Zakładam, że ma jeszcze małą rezerwę, ale nie chcę zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę.

Gdy znów pojawił się na pokładzie, miał na sobie sprzęt płetwonurka. Pat patrzyła na niego nieprzychylnie, bo w jego obowiązku było coś odpychającego. To było jakby - choć starała się nie myśleć w ten sposób - jakby właśnie

111

on wyczuwał, że Cliff Davenport już nie powróci, ale ponieważ musi dopełnić rutynowego obowiązku, będzie go szukać.

Bob Wildman, drugi płetwonurek, pomógł Williamsowi przymocować aparaturę do oddychania. Pat wstała niczym zahipnotyzowana i patrzyła jak Williams przechodzi przez burtę i stopniowo zanurza się w wodzie.

- Czy... czy myślisz...? - słowa uwieźły jej w gardle.

- Profesor z pewnością zaraz się wynurzy - odpowiedział Wildman, odwracając głowę, aby nie zauważyła jego zmartwionych oczu. - Wtedy usiądziemy spokojnie na godzinkę i poczekamy na powrót Stana. Napijesz się herbaty?

Dla Stana Williamsa nurkowanie było pracą zawodową. Tak jak pisanie raportów, czy sporządzanie rejestrów. Robił to bez zastanowienia, automatycznie. Nie miał specjalnej ochoty na spotkanie z krabami, ale ostatecznie, przypominało to szukanie igły w stogu siana. Prawdopodobnie szukając tu, chybają o dziesiątki mil.

Płynął znacznie szybciej niż Cliff. Nie musiał przecieżyć szukać krabów. Jego zadaniem było odnalezienie człowieka. Cały czas miał zapaloną latarkę. Jeżeli on nie zauważy Cliffa, to może profesor dostrzeże jego.

Dotarł do podłoża skał i zaczął płynąć w kie-

112

runku południowym. Z pewnością był tu wcześniej mężczyzna, którego szuka.

Natrafił na wielką grootę. Zaświecił do środka latarką i dostrzegł w głębi tunel. Przez minutę zastanawiał się, czy warto wchodzić głębiej. W końcu zdecydował rozejrzeć się w środku. Właśnie w takim miejscu jak to mógł być profesor. Dziesięć do jednego, że odkrył jakiś nieznaną gatunek podwodnej rośliny i zapomniał o bożym świecie. Zawsze tak jest z...  
Minąwszy pierwszy zakręt poczuł, że coś zbliża się w jego kierunku. Podniósł latarkę. Poszło łatwiej niż przypuszczał z poszukiwaniem profesora.  
Raptem uczucie ulgi zamieniło się w przerażenie. W mętnej wodzie zamajaczył kształt wielkiego kraba.

## Rozdział dziesiąty

Cliff Davenport czuł, że potwór ciągle tam jest. Jakiś siódmy zmysł ostrzegał go, iż tamten tylko przycupnął przy jedynym wyjściu z tego strasznego miejsca. Czy jego przeczucia były trafne, przekona się za kilka sekund.  
Trzymając się ściany, powoli sunął w kierunku tunelu. Musnął płetwą coś twardego i wiedział bez wątpliwości, iż jest to skorupa kraba. Musiał zwalczyć w sobie panikę. Zgadując jego pozycję podniósł nogę, jak gdyby przechodził przez ogrodzenie.  
Jeszcze raz lekko dotknął kleszcza i znalazł się po drugiej stronie. Dalej poruszał się powoli. Instykt podpowiadał mu, ażeby płynąć tak szybko, jak się tylko da w kierunku otwartego morza, ale obawiał się, aby jakkolwiek nagły ruch nie zwrócił uwagi potwora. Oczywiście, kraby czuły się bezpieczne w tych pieczarach i nie przewidywały tego rodzaju ataku. Wszystkie spały.  
Doszedł do zewnętrznej groty, kierując się cały czas wzdłuż ścian i rezygnując z używania latarki. Wiedział już, iż uniknął ataku bestii, które zostały za nim, lecz zawsze istniała możliwość nat-

115  
knięcia się na jakiegoś przypadkowego kraba, wracającego z przechadzki po dnie oceanu.  
Powoli woda z zupełnie ciemnej zaczęła stawać się zieloną. Stopniowo jaśniała coraz bardziej - w końcu - z wielką ulgą, Cliff wynurzył się z grot.

Napięcie ostatnich trzydziestu minut (Cliffowi zdawało się, że minęła wieczność) sprawiło, że zbyt mało uwagi poświęcił tak podstawowej sprawie, jak wydolność aparatu tlenowego. Oparł się o skałę, aby dojść do siebie i nagle zorientował się, że kończy się tlen. To czym oddychał było teraz nieświeże i ciężkie. Wiedział już, że płynąc pod powierzchnią wody nie zdoła powrócić do "Królowej Walii".

Szybko zaczął płynąć w górę. Powietrze było teraz najważniejszą sprawą. Jeśli się wynurzy przy skałach, będzie mógł dopłynąć do łodzi i Pat.

Jeszcze nigdy z taką zachłannością nie tykał świeżego powietrza. Zatrzymał się w miejscu, utrzymując ciało na powierzchni wody ruchami nóg. Chwytał w usta podmuchy zimnej bryzy. Nie mógł od razu otworzyć oczu, bo dokuczliwie świeciło słońce. W końcu, gdy przyzwyczał się do blasku, spojrzął w kierunku, gdzie powinna stać zacumowana „Królowa Walii”. Nie było jej.

116  
też ślizgacza ani kanonierki. Na pustej zatoce tańczyło i migotało tylko słońce.  
Stan Williams w porę dostrzegł kraba. Gdyby nie jego refleks, zostałby z pewnością zabity pierwszym uderzeniem wielkiego kleszcza, który zadrasnął go tylko w ramię. Przerażony zawrócił i zaczął płynąć w przeciwnym kierunku.

Był zmuszony zostawić zapaloną lampkę nad maską. Bez niej wpadłby na ścianę na pierwszym zakręcie. Niestety, wskazywała ona drogę także i jego prześladowcy. W odróżnieniu jednak od niego, płetwonurek mógł o wiele szybciej pokonywać zakręty. Ciągłe nie chciało mu się wierzyć, że krab zdolny jest poruszać się z taką prędkością. Uderzające raz po raz szczytce chybiały o centymetry. Nie miał innego wyjścia, jak płynąć naprzód, i to tak szybko, jak tylko mógł. A gdy się znajdzie na otwartym morzu... Aż trudno było o tym myśleć.

Przepląnął przez wielką grootę i zobaczył wyjście. Spróbował przyspieszyć, ale czuł, że szybko traci siły. Nie śmiał spojrzeć w tył. Wiedział zbyt dobrze, iż krab goni go cały czas i za chwilę może uzyskać przewagę.

Gdyby jeszcze wytrzymał do wyjścia, a następnie rzucił się w górę, miałby szansę. Poczuł, jak gumowa płetwa na jego lewej stopie została

117  
rozerwana na strzępy. On sam był jednak nietknięty.  
Ratunek był tuż przed nim. Jeszcze jeden, ostatni wysięk. Zrobił zwrot ku górze. To go zgubiło. Wielki krab zyskał na zmianie kierunku następnymi kilka stóp i, rzuciwszy się gwałtownie do przodu, dopadł swej ofiary.  
Dotkliwy ból przeszył Williama. Czuł, że jego lewa noga została ucięta tuż pod kolanem. Zaciskając zęby, parł ze wszystkich sił na po-wierznię. Drogę znał czarną smugą. Jednak jego napastnik został daleko z tyłu.

- Tam! - krzyknęła Pat Benson, dostrzegłszy na powierzchni gwałtowny ruch. Nie miała pojęcia, którym z dwóch mężczyzn jest zauważony płetwonurek. Modliła się, aby to był Cliff Davenport.

Wildman skierował lornetkę na odległy, czarny cel. Wyraz zakłopotania pojawił się na jego twarzy.

- To jest Williams - powiedział szybko. - Ma kłopoty. Podnieść kotwicę. On tu sam nie da rady dopłynąć!

Ślizgacz był pierwszy. Zanim "Królowa Walii" znalazła się na miejscu, Stan Williams leżał już na jego pokładzie. Otoczył go wianuszek ludzi, którzy próbowali bezskutecznie zatamować krew bijącą z poszarpanego kikuta.

118  
Gdy z "Królowej Walii" wdrapali się na pokład ślizgacza, upływ krwi nie był już tak silny. Twarz płetwonurka była śmiertelnie blada. Oczy miał zamknięte.

- Kraby - wyjąkał ledwie słyszalnym głosem. - Na dole... tam... wielka grota... tunel...

- Gdzie, człowieku, gdzie?! - Grisedale klęknął przy nim, lecz nie dowiedział się już nic więcej. Stan Williams zmarł.

Grisedale powstał i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych wokół ludzi.

- Są tam - powiedział niskim głosem. - Ale gdzie?

- Czy mam zanurkować i rozejrzeć się? - W pytaniu Wildmana brakowało entuzjazmu. Była to ostatnia rzecz, jaką miałby ochotę teraz zrobić, lecz poczucie obowiązku wzięło górę.

- Nie - Grisedale potrząsnął głową. - Straciliśmy dzisiaj już dwóch ludzi. Musimy przedsięwziąć coś innego. Może łódzie podwodne?

Pat Benson odwróciła się. Nie płakała. Nie chciała uzewnętrzniać swoich uczuć. Żałowała tylko, że żyje. Najchętniej włożyłaby

strój pływacki i zeszła pod wodę.

- Wracamy - zarządził Grisedale. - Na razie nie możemy nic więcej zrobić.

Parę minut później miniaturowy konwój pły-

119

nał w kierunku Barmouth. Wróg raz jeszcze zatriumfował.

Cliff Davenport odpoczywał na skałach, dopóki nie poczuł, że powracają mu siły. Ściana nad nim była zbyt stroma, aby próbować się na nią wdrapać. Istniała tylko jedna możliwość. Musiał płynąć wzdłuż skalistego wybrzeża tak długo, aż trafi na jakieś miejsce, gdzie będzie mógł wydostać się na ląd.

Kwadrans później znalazł miejsce, którego szukał. Była to mała, kamienista plaża, prowadząca do pastwisk. Wyszedł na nią i rozejrzał się wokół, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. Zdjął płetwy i okulary. Zapewne dla postronnego obserwatora wyglądał na jakiegoś ekscentrycznego pływaka. Nieczęsto mu się zdarzało, aby śmiać się do siebie.

Szedł brzegiem, aż dostrzegł w oddali Barmouth. Widział zniszczony deptak nadmorski oraz mały jarmark. Przypomniało mu się to, co zobaczył w podwodnych pieczarach.

Przyspieszył kroku. Nie było czasu do stracenia. Im szybciej przekaze swoje informacje i zostaną podjęte działania w celu zniszczenia krabów, tym lepiej.

Ludzie przypatrywali mu się w zdumieniu. Dzieci wytykały go palcami i uciekały. Przechodząc obok przystani dostrzegł zacumowane przy

120

nadbrzeżu "Królową Walii" i ślizgacz. Nie mógł tego zrozumieć. Poczł złość. Z jakiej racji koledzy go opuścili? Zreflektował się. Pewnie musiał być jakiś powód.

Miał trudności z przekonaniem żołnierza, stojącego na schodach ratusza miejskiego, co do swojej tożsamości.

- Chcę się zobaczyć z komendantem Grise-dale - domagał się niecierpliwie Cliff. - Jestem profesor Davenport.

- Profesor Davenport! - oczy strażnika rozszerzyły się w zdumieniu. - Czy pan powiedział profesor Davenport, sir?

- Tak właśnie powiedziałem - Cliff dyszał ciężko. - A teraz...

- Ale... ale... - wyjąkał mężczyzna z wyrazem niedowierzania w oczach - kraby pana dostały!

- Czyżby? - Profesor zaśmiał się teatralnym, nienaturalnym śmiechem. - Więc wszyscy myśleli, że zostałem pożarty, tak? To dlatego tak szybko czmychnęli do domu. Nie chcieli się spóźnić na podwieczorek, biedacy!

Bez dalszych ceremonii odepchnął osłupiałego strażnika i skierował się w kierunku szerokich schodów, prowadzących na pierwsze piętro, gdzie mieściły się podwójne drzwi tymczasowej kwatery Grisedale'a.

121

Cliff Davenport nie wahał się ani chwili. Bez pukania pchnął je i wszedł. Na jego widok zajmujący pokój mężczyźni rozstąpili się. Strapione przez chwilę twarze przybrały wyraz niedowierzania.

- Boże drogi! - Grisedale'owi opadła szczeka. - To niemożliwe. A jednak!

- Myślałeś, że jestem stracony, co? - zadrwił Cliff. - Nie traciłście cennego czasu na szukanie mnie.

- My... ee... my... - Szef Ministerstwa Spraw Wojskowych zrezygnował z tłumaczenia i gapił się z otwartymi ustami na zjawę, która nagle przed nim wyrosła. Nie potrafił sklecić prostego zdania.

- Gdzie jest Pat? - dyszał Cliff. W ciszy, która zapanowała w pokoju, jego słowa zabrzmiały niczym uderzenie biczem. - Dalej, niech mi ktoś odpowie. Gdzie ona jest?

- Została odwieziona do Lianbedr - odpowiedział Wildman. - Była w szoku.

- Nic dziwnego.

W pokoju znajdowało się siedmiu lub ośmiu mężczyzn. W większości byli to wysocy rangą przedstawiciele sił zbrojnych.

Wszyscy stali nieruchomo i wpatrywali się, nie wierząc, że mają przed sobą profesora Cliffa Davenporta - żywego.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak każdy z nas

122

opowie swoją historię - powiedział Grisedale, zamykając drzwi. - Oczywiście, sprawy mają się teraz inaczej, niż początkowo sądziliśmy. Pół godziny później Grisedale wstał.

- To szczególnie - skomentował. - Nadzwyczaj szczególnie. Oczywiście, kiedy wysłaliśmy Williamsa i zobaczyliśmy, co mu się stało, pomyśleliśmy, że do ciebie też się dobrały, Cliff. Naturalnie, nie mogłeś widzieć krwi Stana, bo miałaś wyłączoną latarkę. Ale teraz już na pewno zniszczymy te bestie bez problemów. Kontrolowana eksplozja nuklearna w pieczarach. Obawiam się, że będę cię musiał poprosić, abys jeszcze raz zanurkował i pokazał naszym ludziom to miejsce.

- Bomba nuklearna nie będzie konieczna - odpowiedział Cliff. - Wystarczy zegarowa. Jedyne, co trzeba zrobić, to zawalić tunel, prowadzący do pieczary, w której te potwory się ukrywają. Zostaną w niej pogrzebane na wieki. Sam dałbym sobie z tym radę. Najlepiej byłoby poczekać do jutra. Dziś w nocy lepiej nie próbować, bo w razie, gdyby ich nie było w grocie, moglibyśmy je niechcący wypuścić na szerokie wody. Jeśli nie miałyby dokąd powrócić, Bóg jeden wie, co mogłyby uczynić.

- To brzmi sensownie - powiedział Grisedale, odwracając się do pozostałych, którzy wyrazili swą aprobatę kiwnięciami głowy.

123

- A więc - Grisedale odwrócił się do Cliffa - odwożę cię swoim samochodem do Lianbedr, abys mógł uspokoić nerwy pani Benson. Jutro chciałbym zacząć wcześniej rano. Im szybciej wysadzimy te potwory z piekła rodem, tym bardziej będę zadowolony!

Pat Benson szlochła cichutko na łóżku, gdy Cliff wszedł do jej pokoju. W pierwszej chwili nie okazała zdziwienia, uważając to za część snu o mężczyźnie, którego kochała. Dopiero, gdy usiadł obok i dotknął jej, zerwała się.

- Cliff! - krzyknęła. - Myślałam... ty...

- Nie, nie jestem duchem - ucisnął jej rękę i pocałował ją - jestem z krwi i kości, i nie przydarzyło mi się nic strasznego.

Przywarła do niego kurczowo, jakby się obawiała, że zaraz zniknie, niczym jakiś, morski duch, który został zesłany, aby ją dręczyć.

- Co, co się stało? - Ikała. Opowiedział jej całą mrożącą krew w żyłach historię.

- Och, Cliff - zasłochła, obejmując go ramionami. - Nie wybieraj się już pod wodę, proszę. Niech oni założą bombę.

Wystarczająco dużo zrobiłeś do tej pory.

- Nie odnaleźliby groty - wyjaśnił. - A zresztą, tym razem to już nie będzie niebezpieczne. Muszę jedynie zostawić bombę zegarową w tunelu i uciec. Zostanie nastawiona na godzinę.

124

- Czy to naprawdę będzie już koniec?

- Absolutny koniec - zapewnił ją. - Wielkie kraby znikną na zawsze!

Jego ręce poczęły delikatnie odpinać sprzączki i zamki błyskawiczne. Razem wśliznęli się do ciepłego, pachnącego łóżka. Teraz liczyła się tylko terażniejszość. Zapomnieli o tym, co już przeszli, i o tym, co czekało ich nazajutrz.

Jeszcze tylko jeden dzień. Tylko on dzielił ich od szczęśliwego życia razem. Dla krabów wybiła ostatnia godzina.

## Rozdział jedenasty

Nad zatoką wisiła mgła, gdy kanonierka wypływała z Barmouth. Tym razem nie trzeba było zabierać ani motorówki ani ślizgacza. Zadanie było proste. Cliff Davenport zanurkuje i zamocuje bombę. Będą z powrotem zanim jeszcze wybuchnie. Przypominać to miało strzelanie do uśpionego królika.

Pat Benson została w Lianbedr u pani Jones. Po raz pierwszy jej naciski, aby towarzyszyć profesorowi, nie przyniosły efektu.

- To nie ma sensu - usłyszała. - Będę z powrotem jeszcze przed obiadem.

Gdy zarzucono kotwicę, Cliff zaczął przebierać się w strój pletwonurka.

- Jesteś pewny, że nie chcesz, ażebym posłał z tobą Wildmana? - zapytał Grisedale po raz któryś z rzędu.

- Tak - odpowiedział Cliff. - Nie ma sensu stwarzać zagrożenia dla dwóch. Faktyczne ryzyko jest niewielkie. Kraby powinny spać, choć nigdy nic nie wiadomo.

Odległe pasmo górskie skryło się za grubą zastoną mgłą. Było dżdżyscie. Cliff miał dreszcze.

127

Odrobina słońca z pewnością poprawiłaby ogólny nastrój.

Zanurzył się w wodzie. Miał przywiązany do pasa okrągły przedmiot, mniej więcej dwukrotnie większy od bomby Millsa. Do niego przymocowana była płaska, gumowa przyssawka. Proste, lecz skuteczne.

Cliff Davenport czuł się nieswojo, gdy płynął wzdłuż podnóża skał ku wejściu do groty. To wszystko było zbyt proste. Wydawało się czymś niedorzecznym, iż wielkie kraby, które okazały się odporne na groźną nowoczesną broń, mogą być zniszczone czymś, co rzadko wchodziło w skład arsenałów od czasów II wojny światowej. Mimo to jednak wiedział, że tego nie przetrzymają, a co ważniejsze, po wybuchu nie uciekną.

Musiał zebrać w sobie całą odwagę, aby ponownie wejść w otwór pod skałami. Każdy cień zdawał się kryć śpiącego potwora. Starał się panować nad nerwami. Zadanie musiało być przeprowadzone skutecznie. Bomba nie mogła zostać umieszczona w nieodpowiednim miejscu.

Tym razem świadom był tego, co kryje się w głębi pieczary. Poprzednio miał komfort niewiedzy, szukał czegoś, czego prawdopodobnie i tak mógł nie znaleźć. Wpłynął do tunelu i poczuł ulgę, stwierdziwszy, iż jest spokojnie. Obawiał się tylko, aby kraby nie dostrzegły odbicia światła w wodzie i nie podplęły sprawdzic, co się

128

dzieje. Na szczęście potrzebował tylko kilka minut.

Odpiął od pasa bombę i wybrał odpowiednie miejsce, aby ją przymocować. Był to prosty i gładki kawałek skały na wysokości jego głowy i ramion. Wydawał się idealnym miejscem. Docisnął przyssawkę i sprawdził, jak się trzyma. Powinno być dobrze.

Drżącymi palcami nastawił mechanizm zegarowy. Jedna godzina.

Zaczął płynąć z powrotem w kierunku otwartego morza. Kraby mają już niewiele czasu. Za godzinę świat będzie bezpieczny.

- Wszystko w porządku? - Twarz Griseda-le'a zdradzała niepokój. Pomógł Cliffowi wdrapać się na pokład.

- OK - powiedział, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Powinno poskutkować. Ale teraz już wracajmy. Nie chciałbym być w pobliżu, kiedy ładunek wybuchnie. Może od tego powstać lawina.

Po godzinie Cliff oddychał z ulgą. Oczywiście nie usłyszą eksplozji, ale jeśli nie zaszło nic nieprzewidzianego, to powinno już być po wszystkim.

W swoim biurze w ratuszu miejskim Griseda-le rozlał whisky do szklaneczek. Brzęknęło szkło. Słowa były zbyteczne.

9 - Noc krabów

129

- Cóż - westchnęła Pat Benson, popijając powoli kawę po kolacji tego samego wieczora. - Zdaje się, że sprawa jest zamknięta. Z krabami koniec na wieki, mam nadzieję.

Cliff Davenport wyczuł żal w jej głosie. Wiedział, o co chodzi. Nie chodziło bynajmniej o to, ażeby Pat darzyła sympatią wielkie kraby. Problem polegał na tym, iż teraz nic nie trzymało już ich razem w Lianbedr. Teraz każde z nich mogło odjechać w swoją stronę, pod warunkiem, że będzie miało na to ochotę.

- Profesorze, telefon! - Pani Jones wetknęła głowę do jadalni.

- To musi być Stary - stwierdził Cliff i wstał, odsuwając krzesło ze zgrzytem. - Powiedział, że zadzwoni do mnie wieczorem.

Wysłali kilku pletwonurków, ażeby zobaczyć, jaki jest rezultat naszej małej eksplozji. Poczekaj chwilę.

Gdy za kilka minut powrócił do stołu, śmiał się od ucha do ucha i zacierał ręce na znak szczególnej radości.

- Nieźle trzasnęło. - Posłodził sobie kawę dwoma łyżeczkami cukru. - Nie tylko zawalił się tunel, ale także zewnętrzna grotka.

Teraz już nic nie wydostanie się z tych pieczar. Mogłbym się założyć, że wewnątrz też gruchnęło i kraby zostały przywalone milionami ton skał. Grisedale jest w Londynie. Odleciał samolotem.

- Więc to prawda! - Pat zapaliła papierosa

130

i zaciągnęła się głęboko. - Sprawa jest zamknięta?

- Prawie - starannie ubijał tytoń w lulce swojej fajki - z wyjątkiem nas. Serce zaczęło jej bić mocniej.

- Masz na myśli...?

- Jest piękny wieczór - dodał, rozkoszując się możliwością spokojnego wyjrzenia przez okno. - Co byś powiedziała na mały spacer? Jeszcze kilka godzin powinno być jasno.

- Tylko nie na wyspę - położyła mu rękę na dłoni.

- Nie - odpowiedział. - Jak na razie mam Wyspy Muszli po uszy.

- Powiedzmy, że pojedziemy samochodem wzdłuż wybrzeża i tam dopiero znajdziemy piękne miejsce.

- Zgoda - powiedział, gasząc papierosa w popielniczce. - Chodź. Na co czekamy?

- Nie możemy tak po prostu się rozstać. Pat - Cliff wypowiedział na głos myśli, które go dręczyły przez cały wieczór. - Chciałem

ci powiedzieć... Wiem, że spotkaliśmy się w dziwnych okolicznościach, ale, jak mówi stare przysłowie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Myślę, że... ee... że...

- Tak? - Przynęła się bliżej i przez kilka chwil stali na skalnej ścieżce, podziwiając zachód

131  
słońca, złote promienie, odbijające się od niezmaconej tafli wody, morską mgłę, która wisiała przez cały dzień, a teraz nagle zaczęła znikać.

- Myślę, że zaczyna się dobra pogoda - chrząknął.

- Nie to chciałeś powiedzieć - złapała go mocniej za rękę. - Mówiłeś, że nie ma tego złego...

- Ach... tak - był teraz znacznie bardziej nerwowy niż wcześniej, nawet wtedy, gdy miał w perspektywie spotkanie z wielkimi krabami. - Jednak to niesamowite uczucie, gdy się chce po prostu poprosić kobietę, aby wyszła za męża - powiedział. - Kolana mi się trzęsą jak małemu chłopcu i czuję się, jakbym miał za chwilę zemdleć.

- Kiedy? - pocałowała go. - Nie zmuszaj mnie, żebym czekała zbyt długo, Cliff!

- Gdy tylko wrócimy do Londynu - obiecał, odetchnąwszy z ulgą. - Myślałem, że może byśmy wyruszyli pojutrze?

- Nie mogę w to uwierzyć - westchnęła, poddając się jego objęciu.

Szli naprzód. Czuli, że mogliby tak iść całą wieczność. Droga prowadziła po szczytach skał, aż w nadchodzącym zmierzchu dojrzeli światła odległego Barmouth.

- Może lepiej wracajmy - zaproponował

132  
Cliff. Stali, przypatrując się hasającym po trawie w skałach królikom.

- Mogłabym tu zostać na zawsze - powiedziała Pat rozmarzonym głosem. - Odpocznijmy chwilkę na trawie. Ani razu tak nie siedzieliśmy od czasu, gdy jesteśmy razem.

Usiedli, plecami opierając się o wysoką skałę poniżej trawiastego kopca. Króliki bawiły się dalej. Albo nie były świadome ich obecności, albo nie miały powodów do obaw.

Nagle, jakby na dany sygnał, tuzin lub więcej białych ogonków śmignęło w powietrzu i króliki zaczęły znikać w wejściach do pobliskich królikami.

- Coś podobnego! - Pat zmarszczyła brwi. - Co się z nimi stało? Siedzimy tu już prawie pół godziny. To nie my je wystraszyliśmy.

Oczy Cliffa Davenporta pilnie śledziły niebo. Może to krogulec... Nad ich głowami leniwie przelatywało stado mew, zmierzając w kierunku plaży. Oprócz tego na niebie było zupełnie spokojnie. Może jakiś gronostaj albo lis...

Przeszukując uważnym wzrokiem teren od stromego zbocza, rozciągającego się przed nimi, poprzez szeroką kotlinę sto jardów stąd, aż do iskrzących się w dali zarysów skalnych szczytów, Cliff dostrzegł ruch. Nie wiedział dokładnie, co to jest, ponieważ było ukryte w cieniu skał. Po prostu ciemniejsza plama na - i tak już ciemnym - tle. Obserwował ją uważnie. Najwyraźniej to "coś" poruszało się. Oczywiście, pobliscy farmerzy wykorzystywali każdy wolny pas górskiego gruntu dla wypasu owiec. Jednak to było większe niż owca. Może jakiś kucyk, który zerwał się z pęt i hasał teraz po trawie w poszukiwaniu wolności.

Gdy przesunęło się na bardziej oświetlony teren, zobaczył to wyraźnie.

- Boże! - syknął. - Co to ma znaczyć... Pat! To jeden z krabów!

- Och, nie! - poszła za jego wzrokiem. Niestety, była to prawda. Wielki krab stał pomiędzy ciemną plamą górskiej trawy o rosnącą nieopodal paprocią. Nagle dołączył do niego drugi. Później pojawił się trzeci.

- Skąd, u licha, one się biorą? - Zasapał ciężko Cliff. - Przecież nie mogły odsunąć skał. Nawet one by tego nie dokonały. A jednak, nie ma innej drogi. Jakby wychodziły wprost z ziemi!

- To niemożliwe! - szlochała Pat, mając nadzieję, że wbrew świadectwu własnych oczu - za chwilę obudzi się i odkryje, iż przysnęli na trawie i to wszystko jest jedynie koszmarnym snem. - Mówiłeś, że nie mogą wydostać się z groty.

Cliff Davenport milczał. Nie był w stanie pogodzić się z faktem, że te potwory są na wolności..., że są żywe.

134  
Ale to była prawda. Coraz więcej krabów pojawiło się na przeciwnym stoku. Wydawało się, jakby powstawały wprost z ziemi. Zebrały się razem, tkwiły niemal w bezruchu. Czekają. Na co?

- Król krabów! - W ustach profesora zabrzmiało to jak przekleństwo. - Widzisz tego diabła? Dwa razy taki jak inne. Jest bardziej przebiegły niż jakikolwiek człowiek. W jakiś sposób je stamtąd wydostał. Jak to zrobił?

- Co teraz będzie? - szepnęła Pat Benson.

- Zobacz, dopiero co gratulowaliśmy sobie oczyszczenia ziemi z tych potworów, a tu nagle

- jesteśmy znowu w punkcie wyjścia.

Cliff Davenport spojrział na zegarek. W głębokim półmroku coraz trudniej było cokolwiek zobaczyć. Wskazówki pokazywały godzinę dziewiątą.

- Grisedale będzie teraz w swoim mieszkaniu w Londynie - jego zduszony szept łączył w sobie wszystko, czego doświadczył w ciągu ostatnich trzech tygodni. - Zdaje się, że będę musiał do niego zadzwonić i powiedzieć, ażeby przyjechał jak najszybciej. Natychmiast. Obawiam się, że wszystko zaczyna się od nowa. Wojsko zostało usunięte dziś po południu. Pozostało zaledwie kilka oddziałów do oczyszczania miasta. Trzeba będzie wszystko organizować od nowa. Przyjrzyjmy się tym potworom. Nie

135  
mogą tu przecież zostać na zawsze. Chcę zobaczyć, dokąd pójdą.

Krabby zdawały się być całkiem zadowolone. Siedziały, skupione razem na zboczu wzgórza. Coraz więcej wychodziło ich z ciemności. Niektóre nawet schowały się w swoich pancerzach. Nie spieszyły się nigdzie.

Ciemność zastłoniła jak płaszczem obserwujących kraby ludzi. Coraz trudniej było rozróżnić cokolwiek, nawet te bestie, które powróciły z zaświatów.

- Chodź - powiedział Cliff, pomagając wstać Pat. - Lepiej pójdźmy stąd. Niedobrze byłoby zasnąć, gdy te potwory kręcą się w pobliżu.

- Jesteś pewny, człowieku? - Grisedale, jak można było sądzić po głosie w słuchawce, był wyczerpany długą podróżą i faktem, że wszystkie ich wysiłki poszły na marne.

- Oczywiście, że jestem pewny - odparował Cliff. - Gdybym nie był, nie zawracałbym ci głowy. Widzieliśmy je na własne oczy.

- Ale jak wylazły?

- Nie wiem, mogę się tylko domyślać. Pod tą wielką pieczarą, w której mieszkały, musiał być jakiś inny tunel, prowadzący do



góry. Teraz są na otwartym polu. Jeden tylko Bóg wie, dokąd pójdą. Obserwowaliśmy je, dopóki nie zrobi-  
136

ło się ciemno. Zapewne będą musiały powrócić do słonej wody. Może po prostu wrócą do morza i zostawią nas w spokoju.  
- Może - jęknął Grisedale - a może nie. Przyjadę z samego rana. W międzyczasie powiadomię Ministerstwo Spraw  
Wojskowych. Bóg jeden wie, co jeszcze możemy zrobić. Jeżeli nie rzucimy na nie bomby atomowej, to naprawdę nie mam  
pomysłu. A może nawet i to by przeżyły!

Pat schyliła się i pocałowała Cliffa, gdy odłożył słuchawkę i złapał się rękami za głowę.

- Zrobiłeś wszystko, co byłeś w stanie zrobić - pocieszała go. - To nie twoja wina. Czy nie możemy po prostu odjechać i  
zostawić im tę całą sprawę?

Potrząsnął głową.

- Nie - westchnął. - Muszę pomóc. Obawiam się, że będziemy zmuszeni odłożyć nasz ślub. Może zajmie to tylko kilka dni.  
Może ktoś coś wymyśli.

- Rozumiem - powiedziała drżącym głosem. Czuł, że jest bliska łez. - Zostanę z tobą. Cokolwiek się jeszcze wydarzy,  
będziemy razem. Co do tego możesz nie mieć żadnych wątpliwości.

Skinął głową. Nie miał serca powiedzieć jej, iż czuje, że wszystko zaczyna się od początku.

## Rozdział dwunasty

- Nie ma po nich śladu. Zniknęły jak kamfora!

Cliff Davenport i Pat Benson stali nieruchomo na szczycie wzgórza, na którym siedzieli wczoraj, obserwując wielkie kraby.  
Wyruszyli z Lianbedr zaraz po wschodzie słońca. Korzystali często z lornetki, aby zlokalizować krabią armię. Wzgórza, jeśli nie  
liczyć królików, skubiących spokojnie sztywną trawę - prawdopodobnie tych samych, które widzieli wczoraj - były opustoszałe.

- Spróbujemy znaleźć miejsce, z którego wyszły - zaproponował Cliff. Podążył w kierunku przeciwległego zbocza. - Jeżeli jest  
tam jakiś tunel, nie będzie trudno go odnaleźć.

Nie było trudno. Pomiędzy kępkami ciernistego jałowca i paproci odkryli - porośniętą roślinnością - gardziel podziemnego  
szybu, o obwodzie mniej więcej dwunastu stóp. Roślinność, która ją ukrywała, była podeptana, a w wielu miejscach na miękkiej  
ziemi widniały znane im bardzo dobrze odciski kleszczy.

- Schodzi prosto w dół - zauważył Cliff,

139

zerkając w mroczny otwór. - Kocioł erozyjny. Dlaczego wcześniej nie pomyślałem o czymś takim?

- Nikt nie pomyślał - wykrzyknęła Pat, pocieszając go. - Przecież wszystkie mózgi z administracji i Ministerstwa szczegółowo  
przestudiowały twój plan. Nawet mieli przed sobą dokładną mapę tych terenów. Zawsze może zdarzyć się coś  
nieprzewidzianego!

- To coś może nas bardzo drogo kosztować

- powiedział -Cliff, prostując się. - Lepiej chodźmy do domu na śniadanie. W tym momencie nie możemy zrobić nic więcej.

Mimo wszystko dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, gdzie teraz podziewają się te kraby.

Po śniadaniu mieli gościa. Gdy wyszli z jadalni, Cliff rozpoznał samochód, który właśnie zajechał na podwórze.

- Pułkownik Matthews - mruknął do Pat.

- Zostaw nas samych na pół godzinki, kochanie. Wyobrażam sobie, ile Stary zapłaci za telefon.

Pułkownik Matthews był niski, krępy i przekonany o swej ważności. Powszechnie uważano, iż jak na swój wiek - miał  
czterdzieści siedem lat - zaszedł niezbyt wysoko w Brytyjskiej Armii. Wielkie kraby stanowiły dla niego wyzwanie. Swą niechęć  
do profesora ujawnił jeszcze po-

140

przedniego dnia, gdy zakładano ładunek wybuchowy. W nowym zadaniu, które mu przydzielono, dostrzegał szansę szybkiego  
wybicia się.

- Nie poskutkowało - huknął. Wyraz jego twarzy zdradzał poczucie satysfakcji. - Ałe tym razem nam się nie wymkną.

- Jeżeli je pan znajdzie - odparował Cliff, wprowadzając swojego rozmówcę do hallu. - W tej chwili wygląda to tak, jakby  
zniknęły z powierzchni ziemi.

- Och, nonsens! - pułkownik uśmiechnął się z pobłażaniem. - Żałuję, że wcześniej mnie tu nie przysłali. To, co zdarzyło się w  
Barmouth było zupełnie niepotrzebne. Wojsko zostało źle zaplanowane. Jeden czołg i moździerz, który pojawił się za późno.

- Czołgi i moździerze są bardziej niż bezużyteczne w konfrontacji z tego rodzaju wrogiem - odpowiedział Cliff. - Już to  
sprawdziłem.

- Bzdury! - Pułkownik Matthews poczerwieniał na twarzy. - Za porażkę odpowiedzialni są głupcy, którzy wtedy dowodzili. Jeżeli  
broń została wykorzystana jak należy, kraby nie wyszłyby dalej niż za przystań.

- Niech pan uważa, jak pan chce - westchnął Cliff. - Bezpośrednią łączność z wojskiem utrzymywał wówczas komendant  
Grisedale, i także teraz musimy z nim być w kontakcie.

- Niestety, wiem o tym - chrząknął Mat-141

thews. - Gdy zbyt wielu kucharzy zabiera się do gotowania, nic z tego dobrego nie wychodzi. Najważniejszym zadaniem jest  
lokalizacja wroga. Kraby naturalnie wróciły do morza, stąd moim pierwszym posunięciem będzie wzmocnienie oddziałów  
stacjonujących w Barmouth. Poczekamy wówczas, aż same do nas przyjdą. W międzyczasie korzystną rzeczą byłoby  
przeszukać pozostałe groty wzdłuż wybrzeża. Zakładam, że tam je znajdziemy. Moglibyśmy sobie oszczędzić dużo czasu i  
kłopotu.

- Niech pan zrobi jak pan uważa - powiedział Cliff Davenport, kiwając głową z rezygnacją. - Jednak moim zdaniem, dostaliśmy  
już wystarczającą naukę. Wojowanie z nimi pod wodą mija się z celem.

- A więc nie chce pan nurkować! - Wydał szyderczo dolną wargę. - To mi nie przeszkadza, profesorze. Mam wielu ludzi, którzy  
chętnie pójdą pod wodę. Zapewne to, co zamierza pan zrobić w międzyczasie, zaskoczy mnie!

- Znalezienie ich to tylko połowa wygranej - stwierdził Cliff, starając się nie okazywać irytacji. - Natomiast wyłęganie potworów  
to coś zupełnie innego, pułkowniku. Przekona się pan o tym.

Minał tydzień. Mieszkańcy walijskiego wybrzeża od Colwyn Bay do Borth powoli zaczęli się

uspokajać. Opinia publiczna była zdania, że kraby wyniosły się na dobre. Może pojawią się jeszcze gdzieś na szerokim oceanie. Jeżeli tak, to nie będzie to już ich zmartwienie.

Następnej środy fala upałów zaowocowała jednym z najbardziej gwałtownych sztormów w historii tych okolic. Niebo się zachmurzyło. Trzaskały pioruny i rozświetlały niebo błyskawice. Potem lunął deszcz. W ciągu godziny wszystkie ulice w Barmouth zalane były wodą.

- Do kęsa! - Cliff Davenport wpechnął Pat Benson w drzwi przytulnej kafejki "Diabeł morski". - To może być to, na co czekaliśmy.

- Co masz na myśli? - zapytała, wyslizgując się z przemoczonego płaszcza. Po chwili już słodziła sobie kawę.

- Kraby żyją zgodnie z instynktem, rządzone są przez żywoły - wyjaśnił Cliff, nabijając fajkę. - Głęboko, nawet na dnie oceanu mają pełną świadomość tego, co się dzieje na powierzchni. Zwyczajnie naszych małych, niegroźnych, znajomych krabów możemy porównywać ze zwyczajami tych potworów - tego jestem pewien. Każdy łowca krabów wie, że po sztormowej nocy jego połowy zwiększają się dziesięciokrotnie. Szukają one wtedy schronienia w skalnych bajorkach i na plażach osłoniętych zatokami. Dlatego czuję, że te większe gatunki też nagle zapragną teraz coś podobnego zrobić. Niezależ-

143

nie od tego czy odpoczywają, czy też nie, dojdą do przekonania, że przyszedł czas na jeszcze jeden wypad.

- Cóż, kochanie - powiedziała Pat, dotykając delikatnie pod stołem jego ręki. - Jeśli ma to oznaczać, że znowu trzeba odłożyć nasze wesele, to jestem w siódmym niebie!

Oboje wybuchnęli niespokojnym śmiechem.

Tego samego popołudnia słońce przebiło się przez grubą warstwę nisko zawieszonych chmur. Góry wciąż pozostawały zakryte mgłą. Panowała duchota. Odnosiło się wrażenie, iż ciężkie powietrze wciąż jeszcze naładowane jest elektrycznością z ostatnich burz. Wydawało się, że nastał czas wyczekiwania. Cisza przed prawdziwą burzą.

Wieczór był gorący i duszny. Po kolacji Cliff i Pat udali się na południe. Wybrali jazdę samochodem, ponieważ - ze względu na kałuże oraz błoto - drogi były nie do spacerów. Zaparkowali na cyplu, z którego roztaczał się widok na wybrzeże aż do Barmouth. Z nadejściem jednak zmroku ich myśli przestały krążyć jedynie wokół zagrożenia. Oddali się zgoła innym sprawom. Rankiem było pochmurnie i mgliście. Podczas nocy morska mgła wyraźnie zagęściła się, ograniczając widoczność do mniej niż dwudziestu jardów.

W takich warunkach praca maszynisty była

144

naprawdę niebezpieczna. Dai Peters miał pod koniec miesiąca przejść na emeryturę. Od dawna wyczekiwał z niecierpliwością tego dnia, gdy nie będzie już musiał prowadzić rannego pociągu z Dolgelly do Barmouth w gęstej jak zupa mgle, która wraz z końcem września coraz częściej tu gościła. No i masz! Całkiem jakby zimowy poranek, a to dopiero połowa sierpnia!

Przeklinał, gdy zatrzymywał pociąg na małej stacji w Art-hog.

- Dzień dobry, Dai - zawołał bagażowy, wrzucając paczkę do wagonu pocztowego. Podeszedł do lokomotywy. - Jaka pogoda z tyłu?

- Ohydna - skrzywił się Dai. - Musiałem jechać z taką prędkością, że szybciej można by iść pieszo.

Odjechawszy ze stacji, musiał zwolnić jeszcze bardziej. Nigdy nie lubił przejeżdżać przez ujście rzeki. Zawsze miał to głupie uczucie, choć nie wyjawiał go nikomu ze swoich kolegów, ale... po prostu nie ufał solidności starego mostu. Owszem, wiedział, że konserwowano go regularnie. Eksperci twierdzili nawet, iż wytrzyma jeszcze do następnego stulecia, ale mimo to miewał często koszmary nocne, w których most był tematem przewodnim. Nie pamiętał już, ile razy budził się w środku nocy, zlany zimnym potem, krzycząc w panicznym strachu. Uspokajała go zawsze żona,

10 - Noc krabów

145

która była do tego przyzwyczajona... No, prawie zawsze.

Sen był taki sam za każdym razem. Wysoki przypiływ, w ujściu poniżej - głęboka i mulista woda, wirująca w opętanym tańcu. Pociąg wlecze się w żółwym tempie - pomimo tego, iż otworzył do końca przepustnicę. Z niewyjaśnionych przyczyn zwalnia coraz bardziej. Gdy parowóz w końcu zatrzymuje się, zaczynają pękać drewniane przęsła. Słyszcy trzaski i zgrzyty pod sobą. Most przelamuje się w samym środku i zapada. Pociąg wpada do wody. Ogólny krzyk, jego najgłośniejszy. Woda zamyka mu się nad głową. Zazwyczaj w tym momencie się budził.

W rano taki jak ten, jego sny nie wydawały się jednak projekcją przemęczonego umysłu. Zbyt łatwo mogły się ziścić.

Nie znosił jazdy przez most. Podczas normalnej pogody nie trwało to dłużej niż pięć minut. W takich warunkach jak dzisiaj, mogło to być nawet i pięć godzin. Pięć godzin niewypowiedzianych męczarni. Przymknął przepustnicę. Dziesięć mil na godzinę. Spojrzał w dół. Poprzez gęste, unoszące się beładnie opary dojrzał ujście rzeki, ponure i odpychające. Poczł ciarki na plecach.

Wyteżył wzrok, przypatrując się torom przed sobą i stalowym dźwigarom po obu stronach mostu. Wyglądały solidnie. Tym niemniej będzie

146

rad, gdy zostawią już to miejsce za sobą i pociąg pojedzie w kierunku stacji w Barmouth.

Nagle, przed pociągiem wynurzył się z mgły dziwny, nienaturalny kształt. Dai odruchowo zaczął hamować. Koła z ogłuszającym piskiem starły się ze stałą szyn. Czymkolwiek to było, znajdowało się na torach. Przecięło mu drogę, nie zamierzając ustąpić ani o centymetr. Być może, korzystając z nieuwagi gospodarza, jakaś krowa zerwała się z łańcucha i przybłąkała tutaj. Jeżeli, jeżeli się szybko nie usunie, to będzie po niej. Co za głupie zwierzę. Pociągi nie mogą się zatrzymywać w miejscu!

Teraz widział to dokładnie. Chryste! To nie była krowa. Krowa jest mniejsza. I nie ten kształt.

- Do diabła! - zaklął na głos. - To jeden z tych przeklętych krabów!

Pociąg już prawie się zatrzymał. Maszynista widział dokładnie kraba. Każdy szczegół, nawet oczy. Ta bestia wyraźnie wiedziała. Wiedziała, że on się zatrzyma. Pokaże jej! Lewą ręką zwolnił hamulec i otworzył przepustnicę. Całą parą naprzód. Na torach pojawiło się coraz więcej krabów. Całe mnóstwo. Pokaże im wszystkim. Rozgniotę je na miazgę!

Gdy nastąpiło zderzenie z królem krabów, lokomotywa zdążyła nabrać prędkości dwudziestu mil na godzinę. Jęk wyginanego metalu. Gwał-

147

towny wstrząs, który rzucił wszystkich naprzód. Dai Paters upadł na podłogę w swojej kabinie maszynisty.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że wszystko stanęło w miejscu. Czas się zatrzymał. Stalowe cielsko parowozu uniosło się lekko do góry, koła przez chwilę wirowały jałowo w powietrzu. Wagony spiętrzyły się jedno na drugim, w następnej sekundzie upadły na bok i uderzyły z ogromną siłą w stalowe dźwigary. Ludzie krzyczeli.

Dai Peters usiłował chwycić za przyrządy, hamulec, przepustnicę, cokolwiek. Lokomotywa chwiała się we wszystkich możliwych kierunkach, jakby była zabawką, którą znużony właściciel zabiera z torów. Maszynista kurczowo trzymał się poręczy.

Znowu pod sobą zobaczył wodę i groźne leje wirów gotowych go przyjąć. Jeszcze jeden potężny trzask. Stalowe dźwigary, fruujące w powietrzu. Wszystko zawirowało.

Ten sam sen. Zaczął krzyczeć wniebogłosy.

- Emma! Emma! Obudź mnie! Most... woda... na miłość boską, obudź mnie!

Pomiędzy odłankami spadającymi z mostu, wagony przypominały sznur serdelek, wrzucony starannie do rondla. Pociąg runął do rzeki. Potężny plusk, brudna piana na mętnej wodzie i... nagła cisza.

148

Nic się nie ruszało. Oprócz krabów. Przeciaw-szy nadwyrężone podpory, wskoczyły z powrotem do wody, spiesząc się po odbiór nagrody, która należała do nich. Delikatne ludzkie mięso.

- Do diabła! Coraz bardziej gęstnieje! - Mężczyzna na dziobie prowadzącej łodzi ratunkowej starał się dostrzec cokolwiek we mgle. - Nic nie widzę. Czekaj! Jest most. Boże wszechmogący!

Druga łódź płynęła obok. Wszędzie sterczały kawałki mostu. Po pociągu i podróżnych nie zostało nawet śladu. Niemożliwością było dojrzeć cokolwiek w mętnej wodzie.

- Nic nie widzę! - zawołał sternik. - Co tak tą łajbą kołyszecie?!

Łódź ratunkowa przechyliła się na burtę. Znajdujący się na niej ludzie zostali rzućni gwałtownie na deski.

- Do diabła! Co się dzieje?

Pierwsza łódź nie miała wody pod dziobem. Ludzie walali się po jej pokładzie jak kloce drewna. Dwie osoby wyleciały za burtę. Zewsząd słycać było krzyki i jęki.

- To, to te cholerne kraby! - Sternik stracił panowanie nad sterem i jeszcze zdążył zarejestrować kątem oka straszliwe kleszcze, które w następnej sekundzie go pochwyciły.

Wszyscy znaleźli się w wodzie. Zapanowała

149

panika. Niektórzy od razu byli wciągani w odmęty, innym udawało się zachować życie jeszcze przez kilka chwil. Koniec był nieunikniony.

Wywrócone do góry dnem łodzie ratunkowe poczęły dryfować z prądem. Tu i ówdzie brązowa woda była zabarwiona czerwienią. Stado mew, siedzących na brzegu, zerwało się do lotu. Zatoczywszy koło, poszybowały w stronę morza. Coś im podpowiadało, że nie jest to miejsce również dla nich.

## Rozdział trzynasty

- Cały czas były w ujściu rzeki! - Grisedale uderzył pięścią w stół. - Podczas gdy my przeczesywaliśmy wojskiem brzeg i rozmieszczaliśmy ciężką artylerię na całym wybrzeżu, one siedziały w ujściu!

Spojrzał na Cliffa Davenporta i potrząsnął głową.

- Ta mgła także może nam pokrzyżować plany - jęknął. - Nie miała kiedy przyjść, tylko właśnie teraz!

- Na to czekał król krabów - stwierdził profesor. - Jest on najprzebiegłym wrogiem, jakiego miała ludzkość. I mogę się założyć, że nie zamierza się ograniczać do walijskiego wybrzeża.

- Co mamy zrobić - w głosie Grisedale'a można było wyczuć nutkę rezygnacji. Wyrzwał z hotelowego okna na nadmorski deptak. Opadające ciężkie mgły zakrywały morze przed jego wzrokiem. - O pół do trzeciej jest ważne zebranie. Same grube ryby. Wojsko i amunicja są w drodze. Ale czy są oni w stanie cokolwiek poradzić przeciwko tym diabelnym krabom?

- Obawiam się, że nie - Cliff bębnił palca-

151

mi po stole. - Choć musi istnieć jakieś wyjście. One nie mogą być absolutnie niezniszczalne. Na pewno mają jakąś piętę Achillesa. Problem tylko w tym, aby ją odnaleźć.

- To zebranie będzie do niczego - stwierdził Grisedale. - Haruję dzień i noc, współpracuję z wszelkimi możliwymi siłami zbrojnymi, a oni wciąż tylko: "Stary nic nie robi!" Szczerze mówiąc, nic mądrego nie przychodzi mi do głowy, tylko ta nieszczęsna bomba atomowa!

- Ich napady są w stylu komandosów - zamyślił się profesor. - Szybki atak i odwrót do wody. Ciekawe, czemu nigdy nie zapuszczają się dalej. Z pewnością nie chodzi tutaj o to, ażeby obawiały się kontrataku. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że nie mogą żyć bez wody dłużej niż przez ściśle określony czas. Spójrzmy na zwykłego kraba. Ten potrafi przeżyć na plaży pomiędzy dwoma przypiętami - powiedzmy dwanaście godzin. Zdaje się, że te potwory wcale nie są bardziej wytrzymałe. Może nawet jeszcze mniej. Ich odporność na brak wody wydaje się bardzo mała. Mogą przeciwstawić się ciężkiej artylerii, ale... Weźmy na przykład atak na Barmouth albo inwazję Wyspy Muszli. W obu przypadkach nie były na lądzie dłużej niż kilka godzin.

- Nie widzę, jak by nam to miało pomóc - skomentował Grisedale. - W najlepszym przypadku oznacza to tyle, że jeśli mieszkasz daleko

152

od morza, jesteś bezpieczny. A jeśli tak, to z wyjątkiem podróży samolotami, wszyscy jesteśmy uwięzieni na tej wyspie. Gdy zaczną się rozmnażać, nawet wielkie statki nie będą bezpieczne. Te potwory będą szerzyć terror na każdym skrawku kuli ziemskiej.

- Niemniej - powiedział zdecydowanie Cliff Davenport wstając - zamierzam nad tym popracować. Musi być jakiś sposób. Tak prosty, że nawet nam to nie przyszło jeszcze do głowy.

Około południa mgła zaczęła się rozpraszać. Od strony morza wiał silny wiatr. Przez nisko zawieszony chmury przebijało słabe słońce.

W miasteczku Arthog wrzało jak w mrowisku. Oddziały wojskowe przetaczały się powoli w kierunku plaży w Fairbourne. Przywożono dźwigi i inne ciężkie maszyny. Prace przy naprawie mostu powinny rozpocząć się jak najszybciej. Mieszkańcy - mimo ostrzeżeń - gromadzili się na peronie małej stacji kolejowej. Widzieli stąd całe ujście, a nawet Barmouth po drugiej stronie rzeki, do niedawna całkowicie zasłonięte mgłą. Mężczyźni wdrapywali się na szkielet zniszczonego mostu, wykrzykując obelgi pod adresem krabów. Przyptyw powoli się cofał. Z każdą minutą coraz bardziej odsłaniały się zakryte zazwyczaj części brzegu. Przyglądający się ludzie podchodzą-

153

li bliżej. Coś wystawało ponad powierzchnią obniżającej się wody. Wagon. Powyginany i skręcony prawie nie do poznania. Wkrótce ukazała się także lokomotywa, z przodem wessanym głęboko w błoto.

Na wodę spuszczone łodzie wiosłowe. Przez tłum przetoczyła się fala przerażenia i dosięgnęła nawet odważnych mężczyzn. Dokąd poszły kraby? Ludzie nerwowo rozglądali się wokół. Wszędzie panował spokój. Nawet rwąca rzeka zamieniła się w mały strumyczek.

Łodzie dotarły do wraku. Mężczyźni wdrapali się na pozostałości po pociągu. Wylamali drzwi wagonu i stłukli szyby. Niektórzy dostali się do środka. Chwilę później wyszli - potrząsając głowami - i z powrotem wsiedli na chwiejne łodzie. Nie odnaleźli ciał. Noc minęła spokojnie, jeśli nie liczyć łoskotu czołgów i ciężarówek oddziałów wojskowych, przysłanych dla wzmocnienia już stacjonujących jednostek. Nikt w Arthog nie spał. Ludzie leżeli i słuchali hałasów, czując się bezpieczniej z każdym dźwiękiem zwiastującym przybycie nowych oddziałów żołnierzy lub artylerii.

W samym sercu ujścia rzeki zacumował niszczyciel. Cały czas przelatwały samoloty. Ludzie wierzyli, że tym razem z krabami będzie koniec. Z pewnością zostaną osaczone jeszcze przy ujściu. Bestie nie mają wyboru. Mogą pozostać

154

tam, gdzie są i umrzeć, albo zostać zgniecione po wyjściu na ląd. Tak czy inaczej, dla króla krabów i jego potwornej armii nadchodził nieodwołalnie kres.

Minęły dwa dni. Powróciła fala upałów. Prace na moście postępowały. Stare dźwigary zastąpiono nowymi. Ciężkie dźwigi wydobyły wrak pociągu. Dwadzieścia cztery osoby, włącznie z załogą dwóch łodzi ratowniczych, uznano za zaginione. Nie odnaleziono ani jednego ciała.

Siły zbrojne wciąż czekały. Wszyscy czekali. Pogoda stawała się coraz przyjemniejsza. Robiło się naprawdę ciepło. Otwarte morze mieniło się głębokim błękitem. Nawet muliste ujście nie wydawało się tak straszne. Zamknięto wszystkie kąpieliska, lecz nie podziało to odstraszać na ciekawskich wycieczkowiczów, którzy napływali z podobną gorliwością, z jaką zebrali się gapie, aby popatrzeć na groźny wypadek samochodowy.

Dodatkowo wojsko i policja formowały szerokie kordony, aby odciąć dostęp do plaży. Na zboczach gór pojawiły się liczne namioty, podkreślając atmosferę dziwnego, wielkiego karnawału. Ulice były zablokowane dziesięciomilowymi korkami. Tylko całkowite unicestwienie krabów mogło przywrócić poprzedni spokój tej części wybrzeża.

- Te dranie muszą wkrótce coś zrobić - stwierdził pułkownik Matthews, wysuwając pierś

155

do przodu. Swe słowa adresował do grupki wyższych oficerów, znajdujących się w jego tymczasowej kwaterze w Fairbourne. - Nie mogę przecież siedzieć w ujściu bez końca!

- O ile tam w ogóle są - powiedział dobitnie młody kapitan. - Może po tym, jak zniszczyły łodzie ratunkowe, wróciły z powrotem do morza?

- Nonsens - uciał Matthews i odwrócił się do mapy rozmieszczonej na ścianie. - Jeżeli nie pokażą się w ciągu dwudziestu czterech godzin, to my je stamtąd wyciągniemy!

Gdy pułkownik Matthews wypowiedział te słowa, przy ujściu już coś się działo. Niski poziom wody, najniższy od wielu tygodni, pozostawił tylko wąski kanał z szerokimi błotnistymi zboczami po obu stronach. Naprawiający most mężczyźni wykorzystali krótki okres, gdy dostęp do dźwiga-rów mógł być ułatwiony.

Nagle woda w rzece zaczęła płynąć szybciej. Zanurzeni do pasa robotnicy musieli mocno uchwycić się stalowych podpórek, zawieszonych nad głową, aby nie dać się porwać.

- Do licha! - zasapał jeden z nich, przywierając kurczowo do zardzewiałego dźwigara. - Zaczyna się fala przyptywu.

- Patrz!

Głowy się odwróciły. Wysoka fala nakryła mężczyzn. Ledwie zdążyli złapać powietrze, a już

156

nacierала druga, groźniejsza. W porównaniu z nią Severn Bore mógł się wydawać niewinnym leśnym strumyczkiem. Coś wprawiało wodę w ruch, tworzyło wiry, aż z rzeki zrobił się spieniony kocioł.

Ktoś krzychał na moście. Ludzie, którzy się tam znaleźli, zaczęli biec po niedokończonej konstrukcji w stronę lądu. Ci w wodzie mieli mniej szczęścia. Następną falą porwała ich ze sobą. Nie byli w stanie płynąć. Szalejące fale podrzuciły nieszczęśników kilka razy, po czym wessały w głębokie, muliste dno.

- Kraby! Kraby wracają!

Okrzyki przerażonych robotników rozniósł się po całym ujściu. Żołnierze, którzy tak długo beczynnie czekali, chwycili za broń. Nareszcie!

Niczym nieskończona kolumna żołnierzy - mrówek, kraby ruszyły z ujścia jeden za drugim. W istocie, tylko w takiej marszowej formacji mogły ukrywać się przez tyle dni podczas niskiego poziomu wody w rzece. Ich kryjówka przestała być tajemnicą. Ciągłe szły naprzód. Sto. Dwieście. Trzysta. Czteryście. Niemożliwością było je zliczyć.

Klik, klik, kliku - klik.

Po moście biegło pięciu mężczyzn. Przy odrobinie szczęścia zdążą przed krabami, które z zadziwiającą szybkością przedzierały się mechanicznym krokiem przez błoto kanału.

157

Może by im się udało, gdyby jeden z nich się nie potknął, a czterech pozostałych nie zatrzymali, aby mu pomóc. Gdy postawili tego co upadł na nogi, zdali sobie sprawę, iż ostatnia szansa ratunku została stracona. Dwa kraby odłączyły się od pozostałych i skierowały na most. Reszta tej ciągle rosnącej licznie kolumny ciągnęła niewzruszenie na Arthog.

Mężczyźni rzucili się z powrotem w kierunku, z którego uciekali. Ich prześladowcy zdawali się nie spieszyć. Być może wiedzieli, że stamtąd nie może być ucieczki dla ludzi

- Co teraz zrobimy? - mężczyźni w kombinezonie przesunęli się nagłym ruchem do wyszczerbionej szczeliny w moście. Rzeka

była zbyt szeroka, ażeby próbować doskoczyć do brzegu. Obejrzeni się za siebie. Kraby zwolniły. Miarowy klekot wypełniał powietrze. W jasnym słońcu iskrzyły się ślepie pełne nienawiści.

- Skacz! - krzyknął mężczyzna ze zwichniętą nogą. - Do wody! Dopłyniesz!

Odbili się równo, wyskoczyli w powietrze. Obydwaj znakomici pływacy - mieli dobre ładowanie. Być może udałoby im się uciec, gdyby nie trzy wielkie kraby, które czekały obok, schowane dla niepoznaki w błocie. Teraz gładko się wśliznęły do wody, ruszając w kierunku płynących mężczyzn.

W oddali rozległ się pierwszy wystrzał.

158

Cliff Davenport i Pat Benson szli powoli do przystani w Barmouth. Dopóki nic się nie działo, nie bardzo mieli co robić. Bez siebie oczywiście byłiby jeszcze bardziej znudzeni.

Cliff kupił w kiosku gazetę i usiadł na ławce, zerkając od czasu do czasu na położoną w dole przystań. Prace restauracyjne były w pełnym toku, powoli zanikał wszelki ślad inwazji krabów

- oprócz tego, co zostało w pamięci naocznych świadków.

Cliff leniwie otworzył gazetę. Naturalnie temat walijskiego wybrzeża ciągle nie schodził z pierwszych stron większości londyńskich dzienników.

"GDZIE SĄ TERAZ WIELKIE KRABY"?

- intrygować miał czytelników nagłówek. Cliff pospiesznie przerzucił artykuł. Eksperci z Fleet Street nie bardzo trafiali w dziesiątkę ze swoimi domysłami.

Pat czytała mu przez ramię.

- Biedne maleństwo! - szepnęła.

- Co takiego? - mruknął, czytając z zainteresowaniem śmieszne fantazje jakiegoś reportera. Kraby jakoby ukryły się w górach!

- Tu - powiedziała, wskazując palcem małą fotografię u dołu strony.

"DZIECKO WYPIJA TRUCIZNĄ PRZECIW

159

CHWASTOM I UMIERA" - głosił podpis. "Dziś rano zmarła ośmioletnia dziewczynka, która w zeszłym tygodniu, w ogrodzie swoich rodziców w Surrey wypijała roztwór trucizny przeciw chwastom. Jak dotychczas nie wynaleziono odtrutki na tę substancję. Ostrzega się rodziców..."

Urwał i nagle ścisnął Pat tak mocno, że pisnęła z bólu.

- Auu! - wyrwała mu rękę. - Co ci się stało, Cliff? Wiem, że to straszne, ale naprawdę nie ma potrzeby...

- Truczizna! - uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki. - Truczizna przeciw chwastom - zabójcza dla wszelkich form życia. Zabija przez pory w skórze. Powoduje gnicie płuc. Zastanawiam się...

- Co ty wygadujesz? - zdziwiła się. - Poplątało ci się w głowie, czy co?

- Nie - wstał i uśmiechnął się. - Właśnie mi się rozjaśniło. Chodź, musimy zobaczyć się z Grisedale'em. Nie mamy chwili do stracenia!

- Może masz rację - stwierdził Grisedale po uważnym wysłuchaniu teorii Cliffa Davenporta. - W każdym razie warto spróbować.

Sprawdził numer w mocno sfatygowanej książce telefonicznej i podniósł słuchawkę. Po pewnym czasie udało mu się połączyć z wydziałem, o który poprosił telefonistkę. Osoba na dru-

160

gim końcu linii słuchała, gdy streszczał teorię profesora.

- Bardzo dobrze. Bardzo dobrze! - Grise-dale najwyraźniej był zadowolony. - Jak szybko możecie nam to dostarczyć? Dzisiaj?

Znakomicie. Zamówimy także rozpylacze. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

- Zakład Zaopatrzenia Rolnictwa dostarczy wszystko od razu... - Znowu zadzwonił telefon.

- Grisedale - warknął niezadowolony, że mu przerwano wywód. Stopniowo na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia i

przerażenia, który zastąpił poprzednią irytację. - Coś podobnego! Wykorzystamy wszystkie oddziały, jakie mamy. Natychmiast!

- To był pułkownik Matthews - powiedział, odwracając się do Cliffa i Pat, popielaty na twarzy. - Kraby są w drodze na Arthog.

Nie tylko wytrzymały ogień z bliskiej odległości z czołgu Centurion, lecz także wrzuciły go do ujścia. Spychają wojsko.

Podszedł do okna i otworzył je. Od strony ujścia rzeki słychać było odgłosy wystrzałów.

- Teraz pozostała już tylko jedna możliwość - mruknął Cliff, obejmując Pat. - Oby ciężarówki z trucizną przyjechały na czas!

## Rozdział czternasty

Kłęska czołgu Centurion była dla żołnierzy sygnałem do odwrotu i porzucenia pozycji wzdłuż brzegów ujścia. Jeżeli nawet Centurion nie mógł powstrzymać krabów, to już nic nie zdoła tego dokonać.

W momencie gdy zarządzono odwrót, zaczęły przybywać posiłki. Kraby znajdowały się już prawie na stacji. Szły powoli.

Odgłosy wystrzałów ucichły tak nagle, jak się zaczęły. Okazały się tylko sposobem marnowania amunicji.

Pomiędzy stacją a pierwszymi domami leżało kilka akrów wolnej ziemi. W przeważającej części była ona porośnięta wysuszoną na wiór wskutek długich upałów trawą.

- Podpalić trawę! - zagrzmiął pułkownik Matthews. - Szybko, zanim do niej dojdą!

- Ogień na nie nie działa - powiedział oficer. - W Barmouth...

- Powiedziałem podpalić! - uciał pułkownik. - W przeciwnym razie postawię was przed sądem!

Błysnął ogień. Płomienie lizały łączywie wysuszoną trawę. Lekki wiatr pomagał im się roz-

163

przestrzenić. W ciągu kilku minut na drodze maszerujących krabów wyrosła ściana ognia.

- To je zatrzyma! - Matthews zaniósł się niemal maniackim śmiechem. - To je...

Król krabów pierwszy wkroczył na płonący teren. Gdy szedł, nad polaną unosiły się tumany dymu, lecz on nawet nie przyspieszył swego mechanicznego kroku. Inne kraby poszły jego śladem.

- Niemożliwe! - pułkownik Matthews podniósł rewolwer. Trzęsącą się ręką wycelował i strzelił. Wypalił sześć razy, opróżniając

magazynek. Naciskał spust dalej. Przekonawszy się o bezcelowości swoich działań rozkazał żołnierzom cofnąć się na szosę. Poprzednia pewność siebie opuściła go. Kierowca z Zakładu Zaopatrzenia Rolnictwa przeklinał, ugrzązał w korku. Widział przed sobą wijącą się kolejkę setek samochodów, poupychanych jeden za drugim, która zniknęła dopiero za następnym wzgórzem. Trzysta jardów dalej leżał most. Był zamknięty. Przy jego wejściu stało kilka uzbrojonych mężczyzn w wojskowych mundurach. Dostrzegł niebieskie odblaski. Dwóch policjantów na motocyklach zbliżało się w jego kierunku. Zwolnili, widząc napis z przodu ciężarówki.

- OK, sir! - krzyknął jeden, nie zadając so-

164

bie nawet trudu, aby zsiąść z motocykla. - Proszę jechać za nami i nie zważać na ruch. Pojedziemy przez most.

Naciskając sprzęgło podrapał się po głowie. Do licha, jak im się spieszy. Ktoś musi dostawać kota z powodu tych chwastów! Mężczyzna siedzący obok nie powiedział ani słowa. Zbyt dobrze wiedział, co znajduje się przed nimi.

- Jest, w końcu! - powiedział Grisedale z ulgą w głosie, widząc, jak ciężarówka w eskorcie policji wjeżdża na małe pole, na którym stał już helikopter. O maszynę opierał się pilot i palił papierosa.

- Pospieszmy się. Mamy mało czasu! Dwóch mężczyzn zaczęło rozładowywać ciężarówkę, przenosząc metalowe puszki do helikoptera, w którym już zainstalowano rozpylacz rolniczy. Teraz należało wszystko odpowiednio połączyć.

Pilot rzucił papierosa na ziemię i rozgniół go obcasem.

- W porządku - powiedział Grisedale. - Zdaje się, że jesteśmy w komplecie. Poleci tylko czterech z nas. My dwaj, pilot oraz pan z Zakładu, aby obsługiwać rozpylacz. Strzeżcie się, kraby. Przybywamy!

Dwie minuty później byli w powietrzu, zmierzając w kierunku ujścia.

Pułkownik Matthews zdał sobie sprawę, że

165

szosa to zaledwie pierwszy etap odwrotu. Kraby ciągle szły naprzód, nie zwracając jednak uwagi na samo miasteczko. Tym razem potwory nie zaprzętały sobie głowy niszczeniem. Praktycznie nie ruszały domów. Wszystko, czego pragnęły, to zabijać. Ochota na ludzkie mięso przestroniła wszystko inne.

Pułkownik dał sygnał od odwrotu. Żołnierze ruszyli w głąb łądu. Powrót na plażę w Fairbour-ne oznaczałby tylko przyspieszenie kłęski. Decydująca bitwa musiałaby się wówczas odbyć nieomal w królestwie krabów.

- Chryste! - jęknął pułkownik, widząc przed sobą drogę nabitą unieruchomionymi w korku samochodami. - Co za głupcy!

W jednej chwili zdał sobie sprawę ze złożoności całej sytuacji. Ich odwrot będzie zablokowany przez cywilów. Niektórzy z nich już teraz porzucili swoje samochody, uciekając na oślep w kierunku, z którego przyjechali.

- Zostawić cały sprzęt! - rozkazał. - Od teraz poruszać się tylko pieszo. Naprzód!

Kraby doszły do drogi. Znajdowały się zaledwie ćwierć mili od żołnierzy i ciągle kierowały w stronę łądu! Tym razem nic nie wskazywało na to, że po krótkim wypadzie powrócą do morza.

Ludzi opanowała panika. Niektórzy próbowali wydostać się z korka samochodami, lecz gdy

166

okazywało się to niemożliwe, również porzucali pojazdy i uciekali pieszo. Żołnierze przemykali między maszynami, czasami biegnąc po dachach samochodów.

Kraby dotarły do pojazdów. Nie wahały się ani chwili. Rozległ się chrzęst gnieczonego z olbrzymią siłą metalu. Rozmaite modele pięknych aut zostały dosłownie wdeptane w ziemię. Nikt już nie strzelał. Nawet ostatni rekruci uświadomili sobie, że to tylko strata amunicji i czasu.

- Patrz! - pułkownik wskazał na odległy punkcik na niebie. - Przysłali dranie helikopter, żeby zobaczyć, co się dzieje!

Helikopter leciał nisko, prawie że dotykając czubków drzew i domów.

- Boże najdroższy - zasapał Grisedale, oceniając sytuację. - Zdażyliśmy w ostatniej chwili. Kraby są zaledwie dwieście jardów od wojska. Jeszcze dziesięć minut i...

- Niżej! - Cliff Davenport krzyknął pilotowi do ucha i odwrócił się, aby poinformować technika, który cierpliwie siedział, przygotowując do użycia rozpylacz.

- Niech mają! Teraz!

Delikatna mgielka rozpylonego płynu wytrysnęła z dyszy rozpylacza. Przez kilka sekund biała chmura wisiała w powietrzu, po czym zaczęła opadać. Technik zwiększył nacisk. Mgła stała się gęstsza.

167

- O to właśnie chodzi! - wykrzyknął entuzjastycznie Cluii, ściskając palcami fotel helikoptera tak mocno, że zbieleły mu stawy.

- Zejdź jeszcze niżej. Musimy się upewnić, czy ten wielki osobnik dostał!

Król krabów - przedtem pewny, iż nie może mu się nic stać - teraz wyczuł, że nie jest to zwyczajny jak dotąd rozpaczliwy atak słabowitego człowieka. Strumień gęstej mgły skierowany prosto na niego poparzył go i niemal oślepił. Przeklęta maszyna wisiała zaledwie kilka stóp nad nim. Zaczął wymachiwać wściekle kleszczami. W sposobie, w jaki został zaatakowany, kryły się osobiste porachunki. Wyczuł to. Przywarł do ziemi. Miał wielką ochotę ukryć się we własnej skorupie. Wiedział jednak, że jeśli to zrobi - zginie. Musiał powrócić ze swoją armią do oceanu - i to jak najszybciej.

Niewzruszony pochód krabów został powstrzymany. Oślepienie, stłoczyły się razem. Wyglądało to tak, jak gdyby nagle straciły całą swą agresję.

Być może bez swojego przywódcy zostałyby na drodze tak jak stały i pomarły.

Król krabów obrócił się z największym wysiłkiem i wszedł chwiejnym krokiem między swoich osłabionych poddanych.

Bezlitośnie, pancierz po pancierzu, uderzał w nie kleszczami. Obudziły się

168

z letargu. Niczym stado robotów poszły za tym, którego uznały za istotę wyższą, przewodnika.

Wielka kolumna powoli skierowała się w stronę, z której nadeszła. Kleszcze ciągnęły się po ziemi, żłobiąc w asfalcie głębokie brudzy. Przechodząc przez Arthog prawie nie spojrzęły na miasteczko. Instynkt ich ostrzegał. Przestały niszczyć i zabijać.

Teraz liczyły się tylko własne przetrwanie.

- Celuj w nie! - krzyknął Cliff Davenport ponad hałasem helikoptera. - Spryskuj je przez cały czas jak będą szły do wody!

Był to najdziwaczniejszy z odwrotów w historii wojen. Ślaniające się, klekoczące kraby i helikopter, spryskujący je trucizną przeciw chwastom zaledwie dziesięć stóp nad ich pancierzami. Minęły Arthog i skrzyły omijając most. Gdy wyczuły słońce wodę, zaczęły posuwać się szybciej. Jeszcze jeden wysiłek. Czy po to, aby umrzeć w swoim podwodnym królestwie?

Król krabów stał samotnie na brzegu, gdy jego poddani, wciąż jeden za drugim, zanurzali się w mętnej wodzie i znikali. Nie poruszał się. Tylko błyszczące oczy wskazywały, że ciągle jeszcze tli się w nim życie.

- Dalej na drania! - krzyczał Cliff. - Daj mi wszystko, co masz!

Helikopter wisiał coraz niżej w powietrzu, trucizna biła z rozpylacza. Olbrzymi korpus kolo-

169  
ru ziemi pokrył się pianą. Potwór wyprostował się jeszcze raz, błyskając złymi oczami w stronę ludzi i maszyny - sprawców jego klęski.

Na przekór swoim prześladowcom podniósł w górę szczypcę. W jego ślepiach błyszczła niewiarygodna złość. Wciąż nie chciał się przyznać do porażki. Ruszył z największym wysiłkiem, dosłownie doczołgał się na skraj brzegu. Pozostawił po sobie zaledwie małą zmarszczkę na niezmażonej tafli wody, która jeszcze przez kilka chwil była dowodem, że w ogóle istniał.

Cliff Davenport odwrócił się do pilota. Jego twarz była wynędzniała, przeorana zmarszczkami. Mimo to czuł się szczęśliwy.

- Możemy wracać do domu - powiedział. Dwa wieczory później Cliff Davenport, Pat Benson i Grisedale jedli razem kolację w hotelu pani Jones. Nazajutrz cała trójka miała wrócić do Londynu.

- A więc - zaczął Grisedale, popijając powoli kawę i zapalając papierosa. Twarz promieniała mu radością. - Zdaje się, że ostatecznym argumentem była trucizna przeciw chwastom. Wolałbym je widzieć leżące martwe na drodze, ale cóż, ta trucizna nie zabija od razu. Chciałbym dla własnej satysfakcji wiedzieć, dokąd popłynęły umrzeć, bo chciałbym mieć pewność, że zostały wykończone. Posłaliśmy pletwonurków pod wodę, ale nic nie znaleźli. Nawet jednego trupa!

170  
- Słyszałeś o legendarnym grobowcu słoni w Afryce? - zapytał Cliff z zamyśloną twarzą. - Jest przedmiotem poszukiwań od wieków, lecz jeszcze nikomu nie udało się go znaleźć. Nikt też nie natknął się nigdy na martwego słonia w buszu. A jednak jest gdzieś takie miejsce, do którego się udają, gdy czują, że zbliża się koniec. Prawdopodobnie tak samo jest z tymi krabami. Bóg wie, skąd przyszły. Może teraz tam powrócą, aby umrzeć.

- Oby tak było - westchnął Grisedale. - Nikt z nas nie ma ochoty na drugą krabią wojnę. Pat ziewnęła.

- Nie mogę powiedzieć, że żal mi stąd odjeżdżać - powiedziała, trzymając ręce w dłoniach Cliffa - choć miało to swoje dobre strony.

- Lepiej pójść spać - stwierdził Grisedale taktownie, spojrzawszy na zegarek. - Muszę być wcześniej w drodze. Jutro wieczorem jeszcze raz lecę do Belgii.

- Tylko nie spóźnij się na ślub - przypominała mu Pat.

- Nie spóźnię się na pewno - zaśmiał się - o ile nie będą podawane kanapki z krabami...

- Nie ma obawy! - skrzywiła się Pat. - Do końca życia nie chcę już widzieć żadnego kraba. Fu!

Następnego ranka, gdy Pat i Cliff przemierza li szosę wzdłuż wybrzeża, morze miało barwę głębokiego błękitu.

- Zastanawiam się - powiedziała Pat - zastanawiam się, co też kryje się w tych głębinach.

Cliff objął ją lewą ręką w tali.

- Może lepiej nie wiedzieć - odparł. - Zostawmy lepiej w spokoju tajemnice oceanu.